№ 5. Warszawa, dnia 4 (16) Stycznia 1872 r. Rok I. — Tom I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, miesięcznie kop. 45.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Expedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartał: flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 77.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52.
W W. Ks. Poznańskiem: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 7½.

NAUKI PRZYRODNICZE
I ICH OGÓLNE ZNACZENIE.

Wśród nowych coraz wrażeń i poglądów, których ścieranie się stanowi gorączkowe życie dzisiejszego pokolenia, hasłem górującém w obecnéj chwili są nauki przyrodnicze. Spotykamy się z niemi bezustannie—w życiu i pismach: rzekłbyś, w sto lat po Krasickim przypomnieliśmy sobie jego „trzeba się uczyć.”

Czy prąd ten jest pozornym, czy rzeczywistym, czy przeniknął już w umysły, czy tylko na ustach występuje — w każdym razie pragniemy go uważać za początek trzeźwiejszego w naszém społeczeństwie poglądu na świat i życie.

Gdy atoli nauki przyrodnicze dla znacznéj ukształconego nawet ogółu większości stanowią kraj nieznany, słuszna zapytać, czém są i co nam dać mogą?

Odpowiedź otrzymamy łatwo — są to nauki o tworach i zjawiskach przyrody, a dają nam możność korzystania z sił natury.

Przeciwko określeniu temu nic zarzucić nie można, ale gdy zażądamy bliższego wyjaśnienia, poznamy, że dla ludzi, zdala od tych nauk stojących, wydają się one zawiłém i pomieszaném mnóztwem wiadomości, z których jedne zalecają się swą wartością praktyczną, inne stanowią tylko przedmioty ciekawości i podziwu.

Otóż tak nie jest: wiedza złożona z niepowiązanych szczegółów nie zasługiwałaby na miano nauki, i aniby czyniła zadosyć umysłowym wymaganiom człowieka, ani sprzyjała rozwinięciu władzy naszéj nad potęgami przyrody. Z jednego i drugiego należy się wytłómaczyć.

Nauka wymaga przedewszystkiém rozumowego powiązania znanych szczegółów; naukę stanowi nie encyklopedyczne zaregestrowanie znanych rzeczy, lecz wykład ich systematyczny, nie ilość tego, co wiemy, ale pojmowanie tego, co wiemy. Pojmować zjawisko natury jest to znać jego prawo; prawo bowiem jest to ogólne pojęcie, pod które daje się podciągnąć pewien szereg zjawisk przyrody, mających jednakowy przebieg. Jak w pojęciu zwierzęcia ssącego łączymy to wszystko, co wspólném jest u człowieka, małpy, lwa konia, wieloryba, tak w pojęciu prawa załamywania się światła zestawiamy to wszystko, co powraca prawidłowo, gdy promień światła jakiéjkolwiek barwy przechodzi w jakimkolwiek kierunku z jednego w drugie ciało przezroczyste. Prawo natury wszakże nie jest jedynie logiczném pojęciem, utworzoném dla lepszego zapamiętania faktów, ani nie możemy go sobie drogą rozumowania wysnuć. Natura istnieje na zewnątz nas, a jéj zjawiska odbywają się bez naszego przyczyniania się; prawo natury musi być zatém na saméj przyrodzie odczytaném.

Tak atoli rozumując, zakładamy z góry, że w zjawiskach i tworach przyrody zachodzi prawidłowość. W istocie świadomość ta o prawidłowości natury stała się pojęciem zasadniczém ludzi nowożytnych. Nic w naturze nie masz dowolnego, każde zjawisko jest następstwem koniecznem przyczyn, które je wywołały; najdrobniejszy pyłek, którym lekki wicher igrać się zdaje, obiega drogi, będące koniecznėm następstwem wpływów nań działających, podobnie jak olbrzymi Jowisz, przebiegający koléj raz na zawsze mu nakreśloną; roślina jest koniecznėm następstwem nasienia swego, soków pożywnych, które z ziemi wyciąga, gazów, jakich jéj powietrze dostarcza, ciepła i światła, które wywołują w roślinie składy i rozkłady pierwiastków; cząstka żelaza zachowuje zawsze też same własności, czy to w związku kopalnym w łonie ziemi spoczywa, czy w meteorze przestrzenie niebieskie przebiega, czy w słońcu w stanie pary się unosi, czy w kulce krwi skronie poety przebiega.

I długo patrzał człowiek na cuda przyrody, zanim się w nich prawidłowości dopatrzyć zdołał. Człowiek natury korzy się przed potęgami świata zewnętrznego, widzi w nich bogów potężnych, samowolnych, złych lub dobrych, zasyła do nich modły lub ofiarami stara się je ubłagać o oddalenie klęsk, jakie przynoszą. Zwolna dostrzega koczownik porządek w rozkładzie i ruchach gwiazd, co mu były przewodnikami na puszczach; zwolna zaczyna rolnik poznawać jednostajność następstw między ziarnem w ziemię rzuconém, a zbożem, które zbiera i w umyśle jego powstaje przeczucie o prawidłości w naturze. Przeczucie, mówię, bo świadomość istotna mogła być dopiero wynikiem usilnych badań i gorliwych obserwacyj; śmiało powiedzieć można, że jest ona dopiero owocem pracy trzech ostatnich stuleci. Całe są szeregi zjawisk przyrody, których prawa powstawania i przebiegu znamy dziś tak dokładnie, że z największą ścisłością oznaczamy ich przyszłe następstwo.

Najlepszym przykładem niezmienności praw w naturze jest astronomia nowożytna; jest ona zarazem najwybitniejszym dowodem potęgi, jakiéj nabiera umysł ludzki, gdy się może kierować dobrze poznaném prawem natury. Znajomość praw ciążenia powszechnego, które rządzi ruchami ciał niebieskich, pozwala nam przepowiedzieć, obliczyć z góry, drogi planet na lata i stulecia całe ze ścisłością aż do małych ułamków minuty. Zjawiska, stanowiące przedmiot astronomii, pozwalają łatwiéj uchwycić swoją prawidłość, niż jakiekolwiek inne objawy przyrody, i dla téj to przyczyny astronomia w rozwoju swoim wyprzedziła

wszystkie inne gałęzie nauk przyrodzonych, i jeżeli ją niegdyś nazywano królową nauk, dla przedmiotu jedynie, stała się nią obecnie w skutek swéj doskonałości.

Im bardziéj ukrytą jest prawidłowość pewnéj kategoryi zjawisk, im one od większéj liczby wpływów zależą, tém nam trudniéj wyczytać prawo niemi kierujące. Taką zawiłość przedstawiają nam zjawiska atmosferyczne; deszcz lub susza nie następują z tą regularnością, co zaćmienia słońca, których powrót peryodyczny zdołali już uchwycić pasterze chaldejscy; i dziś jeszcze jesteśmy skłonni przypuszczać, że to siła nadnaturalna sprowadza pogodę jako błogosławieństwo, grad jako karę; gdyby jednak intelligencya wyższa zdołała objąć cały ogrom przyczyn, których następstwem jest rozkład deszczu, uchwyciłaby prawo rządzące deszczami i przepowiadałaby przyszły stan pogody z takąż łatwością, jak astronom przepowiada zaćmienia słońca.

Bardziéj jeszcze zawiłemi są zjawiska życia; minęły już wszakże czasy, gdy sądzono, że dla ich wytłómaczenia uciekać się trzeba do sił nadprzyrodzonych: toż z jednego zęba zwierzęcia przedpotopowego zdołano nakreślić cały jego szkielet, poznano warunki jego życia; toż dziś jesteśmy na drodze wykrycia prawa rządzącego powstawaniem gatunków.

„Ta to prawidłowość zjawisk przyrody, mówi Helmholtz, jest głównym bodźcem, co badacza natury z przedmiotem jego zajęcia wiąże, co mu dodaje podniety w trudnéj pracy odsłaniania tajemnic przyrody. Co innego w naukach społecznych, historycznych: tam zatrzymuje nas sam człowiek w tysiącznych objawach swéj działalności. Tam zajmuje nas i zachwyca każdy wielk czyn, jaki nam historya opowiada, każda namiętność potężna, jaką nam sztuka przedstawia, każdy szkic obyczajów, urządzenia państwowego, ukształcenia narodów dalekich krajów i odległych czasów, choć ich pojąć nie możemy w związku z całością nauki. Znajdujemy tam zawsze punkta, które nas zatrzymują i skłaniają do porównania z naszemi własnemi wyobrażeniami i uczuciami poznajemy tam ukryte popędy i zdolności własnéj naszéj duszy, które w zwykłym, spokojnym przebiegu życia ucywilizowanego pozostają nieobudzonemi.

Przyznać należy, że zajęcia tego rodzaju nie wzniecają w nas rezultaty nauk przyrodzonych. Każdy fakt pojedynczy, wzięty oddzielnie, może pobudzić naszą ciekawość, może wywołać zdumienie, albo być przydatnym dla celów praktycznych. Wszakże zadowolenie umysłowe sprawia nam jedynie ujęcie całości, właśnie przez swą prawidłowość. Nazywamy rozumem zdolność wynajdywania praw i ich umiejętnego stosowania. Dla rozwinięcia sił rozumu w ich całéj pewnośc. i w ich całéj doniosłości, nie masz szranek stosowniejszych nad nauki przyrodzone w całéj ich obszerności, włączając w to i matematykę. A pracę naszą wynagradza nie tylko radość ze skutecznéj działalności naszego umysłu i ze zwycięzkiego podciągnięcia pod siły naszego myślenia i woli naszéj świata zewnętrznego, częścią nam obcego, częścią nam nieprzyjaznego, ale występuje w nas że tak powiem, pewien rodzaj zadowolenia artystycznego, gdy zdołamy przejrzeć niezmierne bogactwa przyrody, jako całość prawidłowo uporządkowaną, jako kosmos, jako odbicie się prawidłowego myślenia naszego własnego rozumu." (Helmholtz „Ueber die Erhaltung der Kraft").

I tę to prawidłość, jaką nauki przyrodzone przejęły z własnego swego przedmiotu, wniosły one w zakres innych nauk i w zakres życia. Objawy życia duchowego jednostek i życia narodów zależą od tak wielu i tak różnorodnych przyczyn, że prawidłowość ich w rzadkich tylko razach może być jasno wykrytą; niemniéj statystyka wykazała w czynnościach ludzkich prawidłowość uderzającą, tam gdzie jéj się najmniéj można było spodziewać; a jeżeli takowa w tysiącznych razach uchodzi oku naszemu, to powód leży w tém, że wpływy drugorzędne maskują działanie praw głównych, jak to nieraz widzimy i w świecie fizycznym, czego przykładem wybitnym są zjawiska meteorologiczne. W każdym razie pojęcie prawidłowości nauki przyrodnicze dały już całemu obszarowi nauk filozoficznych, filologicznych, historycznych, społecznych, moralnych, i na tych to zasadach nauki te przebudowują się z gruntu w naszych czasach. „Nie minie jedno stulecie, mówi Buckle, a trudno będzie znaleźć historyka, któryby zaprzeczał niezachwianego porządku w rozwoju duchowym ludzkości, tak jak obecnie nie znajduje się już filozof, coby go zaprzeczał w świecie zmysłowym".

Zwolna, ale z wzrastającem coraz natężeniem, nauka oddziaływa na życie; nauka dzisiejsza nie jest zamkniętą w klasztorach, ani w olbrzymich księgach, o wyrazach kończących się na *os* i *us*. Setnemi drogami zdobycze naukowe przechodzą do mass i stają się udziałem wszystkich: pojęcie prawidłowości bezwiednie przenika już nasze pokolenie, wsiąka w kość i w krew naszą; wiemy już, że byt nasz i czynności są koniecznym następstwem warunków, w których się znajdujemy. Konieczność ta nie jest to jednak fatum starożytnych; gdzie widzimy złe, nie korzymy się przed potęgą nie znaną, a śmiało odszukujemy przyczyn je wywołujących i występujemy z niemi do walki Skoro statystyka wykazuje w danéj miejscowości nadmierną śmiertelność, pojmujemy, że tam niezachowane są warunki hygieniczne i znosimy to, co jest szkodliwem. Podobnie jak w przyrodzie też same warunki w równych okolicznościach zawsze jednakie skutki sprowadzają; aby złe niszczyć, trzeba uderzać na przyczyny, których ono jest następstwem.

Ale nie tylko pojęcie prawidłowości dały nauki przyrodnicze innym naukom — dały im metodę, przykładem swoim utorowały im drogę rozwoju.

Długo błąkał się umysł ludzki po manowcach, zanim natrafił na najpewniejszą drogę wiodącą go do poznania prawdy. Filozof dawny wychodził z pojęć ogólnych, z pewnych idei metafizycznych o wszechświecie; wyprowadzał ztąd szereg zasad i wedle tych zasad chciał przewidywać zjawiska, od przyczyny szedł do skutków. Badacz przyrody, zwraca swą uwagę przedewszystkiem na dokładnie zbadane zjawiska; mierzy, liczy, waży co ma przed oczyma, aby ściśle poznać liczebne stosunki rzeczy; wykonywa doświadczenia, w których zjawisko poddane badaniu jest o ile można usuniętem z pod wpływów zewnętrznych, a gdy rezultat tych poszukiwań zebrał w ścisłą formułę, wtedy odkrył prawo natury, wyśledził jéj porządek. Gdy atoli raz jest już badacz w posiadaniu prawa natury, może z niego wyprowadzać wnioski; dotąd szedł z dołu pod górę, obecnie wolno mu z góry na dół zstąpić. Doświadczenie prowadzi nas do poznania prawa odbicia się światła, ale gdy je już znamy, drogą rozumowania przepowiemy, jak się promień światła odbije od zwierciadła płaskiego lub krzywego, wklęsłego lub wypukłego.

Błędem jest dosyć upowszechnionym mniemanie, że metoda doświadczalna nie daje dosyć pola do rozumowania, że nie pozwala od faktów się oderwać, że jest czysto indukcyjną. Jest ona indukcyjną w pierwszéj części gdy idzie o odczytanie z faktów zasady ogólnéj; tutaj zbiera, łączy szczegóły, prowadzi do praw; w drugiéj atoli części jest stanowczo dedukcyjną, z praw osiągniętych wracamy drogą rozumowania dedukcyjnego do szczegółów, do faktów; ale i tu obłąkać się niemożemy, bo wnioski winny być zgodne z faktami, winny być potwierdzone doświadczeniem. Ta jedynie metoda dozwala nam czytać w księdze przyrody, o któréj mówi Gallileusz, który nas w niéj czytać nauczył, że jest pisaną w języku matematyki.

Zaiste, rezultaty które wydały w krótkim stosunkowo czasie nauki przyrodnicze, odkąd metody użyły doświadczalnéj, okazują, że nauki te należytą poszły drogą. Dzisiejsze czasy widzą we wszystkich naukach usiłowanie przyswojenia téj tak płodnéj metody; najznakomitsi historycy, filologowie, ekonomiści, starają się tę metodę do swych nauk przystosować; pękają dziś ramy filozoficzne jakie stawiali z góry twórcy teoryi, aby w nie wtłoczyć cały system wiedzy; obserwacya, fakta, szczegóły stają się punktem wyjścia w każdéj nauce.

Metodą to swoją zyskują nauki przyrodnicze tak ważne znaczenie w pedagogice. Nietylko bogacą umysł młodzieńczy obfitym zapasem wiadomości, bez których byłby obcym wśród ruchu umysłowego i praktycznego swego czasu, ale są dla niego nauką logiki, nie formułkowéj, lecz praktycznéj, żywéj. Matematyka, grammatyka uczą nas rozumować ściśle, ale nauki przyrodzone jedynie określają szranki rozumowania, uczą jak do niego przystąpić; nie pozwalają się obłąkać, z myślenia nie wpaść w marzenie. Trzeźwym jest umysł tą drogą poprowadzony, a pokolenie tak wychowane nie weźmie pozoru za rzeczywistość.

Dalszym darem, którego nauki przyrodnicze życiu udzieliły, jest żywioł postępu. Jeżeli zważymy jak mało postąpiła filozofia abstrakcyjna od Platona i jego poprzedników aż do Hegla i jego następców, dziwić się zaiste nie będziemy zastałości wieków minionych, których rozwój umysłowy szedł pod chorągwią téj filozofii. Co innego nauki przyrodnicze: rok, dzień każdy przynosi zapas wiadomości, tak rozległy, że człowiek poświęcający się nauce nie może przejrzeć nawet tego, co się w jego specyalności dokonywa. Najbardziéj uderzającym przykładem tego szybkiego rozwoju jest w obecnéj chwili astronomia fizyczna. Dziesięć, a najdaléj dwanaście lat temu, natura słońca i gwiazd była dla nas najzupełniéj tajemną; toż książęta nauki uważali słońce za gwiazdę o jądrze ciemném. Aż oto Kirchhoff i Bunsen nauczyli nas poznawać naturę ciał z promyka światła, jaki one w czasie palenia się wysyłają, i analiza spektralna przez nich odkryta pozwoliła nam wykonywać rozbiory chemiczne słońca i gwiazd, a nawet owych mgławic odległych, od których światło, aby do nas dobiegło, potrzebuje setek i tysięcy lat. Dziś poznajemy w słońcu wodór i żelazo, mierzymy jego temperaturę, śledzimy burze w jego atmosferze płomienistéj, oceniamy ich doniosłość. Literatura tego przedmiotu w ciągu lat dziesięciu zebrana stanowi już poważną bibliotekę. Ten przykład nauk przyrodzonych oddziaływa na wszystkie stosunki ludzkie, a pod ich wpływem jeden dziesiątek lat widzi więcéj zdobyczy umysłowych i materyalnych niż całe wieki poprzednie.

Dotknęliśmy kilku momentów duchowego, że tak powiem, oddziaływania nauk przyrodniczych; byłoby dolewaniem wody do oceanu, gdybyśmy chcieli przedstawiać rezultaty ich praktyczne, materyalne. Cały sposób życia, stosunki społecz-

ne, są pod ich wpływem zmienione, udogodnione do niepoznania. Potężne żywioły przyrody, co pierwotnym ludziom zagładą groziły, dziś pokonane siłą rozumu, stały się posłusznemi jego woli sługami. Podnieść to tylko tu musimy, że zastosowania nauk przyrodzonych polegają właśnie na prawidłowości natury; wtedy bowiem z sił natury korzystać możemy, gdy zdołamy, przewidzieć skutek, jaki nastąpi, gdy siły te działać będą w nieznanych jeszcze przypadkach które sami sprowadzić zamierzamy; w skutek niezmiennéj to prawidłowości działaczy przyrody poskramiamy rozhukaną siłę pary i do naszych ją potrzeb stosujemy. Odkrycia przypadkowe stają się coraz rzadsze i co najwyżéj zwracają tylko uwagę naszą na możność nowego korzystania z sił natury; ale każde istotne zwycięztwo nauki nad żywiołami natury jest jedynie umiejętném stosowaniem rezultatów nauk przyrodniczych.

Tak w medycynie wpływ nauk przyrodniczych najwybitniéj okazał się w okulistyce. W skutek właściwej budowy oka możemy stosować metody fizyczne do badania zboczeń w organie żywym proste narzędzia fizyczne, okulary, już walcowe, już kuliste, już pryzmatyczne dozwalają w wielu razach usunąć okoliczności, które dawniéj czyniły oko niezdolném do użytku; z drugiéj strony możemy obecnie w zarodku samym poznawać i usuwać wielką liczbę zmian, które dawniéj wykazywały się dopiero, gdy sprowadziły już zupełną ślepotę, i jak to powiedział Helmholtz na zjeździe badaczy przyrody w Insbruku w r. 1869, okulistyka szybko się rozwija na drodze, po któréj służy pozostałéj medycynie za świetny wzór tego, czego może dokonać należyta metoda, podobnie jak przez czas długi astronomia była wzorem dla innych gałęzi nauk przyrodniczych.

Są ludzie, u których wartość nauki ocenia się jedynie z jéj praktycznych zastosowań, dla których tryumfy myśli uroku nie mają, co z szyderstwem patrzą na badacza nauce swe życie poświęcającego. Tym odpowiemy, że w naukach przyrodniczych nie masz odkryć, któreby mniéj lub więcéj, prędzéj lub późniéj, życiu się nie nadały; jest to prawda stwierdzona długoletnią obserwacyą. Gdy w r. 1820 Oersted okazał zdumionym słuchaczom uniwersytetu w Kopenhadze zboczenie igiełki magnesowéj pod wpływem strumienia galwanicznego, któż przypuszczał, że w skutek tego spostrzeżenia ziemia, w lat niewiele późniéj, obwiedziona będzie do koła drutem telegraficznym?

Cały przemysł dzisiejszy dzieckiem jest umiejętnego stosowania praw natury; dziś zresztą nauka i przemysł wiążą się z sobą i tak na siebie nawzajem oddziaływają, że w wielu razach trudno między niemi linię graniczną przeprowadzić. O ile przemysł prowadzi za sobą dobrobyt, o ile ten wpływa na powiększenie summy szczęścia na ziemi — niech powiedzą ekonomiści i moraliści, niech oceni każdy człowiek rozsądny.

Nakoniec słowo jeszcze. Dla wielu nauki przyrodnicze prowadzą po za sobą widmo materyalizmu. Ci co pod tym wyrazem rozumieją cały szereg brudnych namiętności serca ludzkiego, niech ocenią, czy godzi się tarzać w błocie naukę, która dając taką podnietę myśli, odrywa ją od celów poziomych? Ci znów, co drżą przed prawdami, do jakich nauki przyrodnicze powieść mogą, niech się uspokoją; niech historya będzie dla nich rękojmią przyszłości. Wkrótce kraj nasz a z nim Europa cała, obchodzić będą czterechsetletnią rocznicę urodzenia wielkiego męża, co w świat rzucił myśl najśmielszą, jaka kiedykolwiek w umyśle ludzkim zakiełkowała. Człowiek uważał się za pana stworzenia, słońce istniało, by mu świeciło w dzień, a księżyc by mu rozjaśniał cienie nocy. Kopernik ogłasza, że to ziemia obraca się koło słońca, a myśl ta staje na czele nauki nowoczesnéj; człowiek staje się nikłą drobiną, a ziemia, siedlisko jego, nieznaczném ogniwem w systemie światów.

Zdawało się, że pogląd ten zetnie podstawy bytu moralnego świata; przez całe wieki ciążyły nad nim klątwy, aż wszedł w przekonanie ogółu, oznaczył stanowisko człowieka w świecie, pobudził go do pracy, do walki z siłami natury i powiódł go do zwycięztwa. Nie Europie to drżeć wypada przed prawdą, nie jéj to lękać się rezultatów badań naukowych, jéj, któréj najdawniejszych mieszkańców starożytny poeta mianował już zuchwałym Japeta rodem.

TIMUR LENG.

Ben Hafiz mówi: „Niechaj człek wszelki
Potęgi ducha w sobie nie chwali;
Czyny są nikłe, ludzie są mali
I jeden tylko Ałłach jest wielki.”

* * *

Ziemia Kapczak długa i szeroka,
Mrowie na niéj przemieszkuje ludów,
Lecz jedyną źrenicą proroka
Samarkanda, jasne miasto cudów.
Święte miasto, na Mongołów ziemi
Umiłował cię Bóg przed innemi.
Święte miasto, ty należysz do tych,
Które Sithra szczędzi w swym pochodzie,
I oczami minaretów złotych
Patrzysz w niebo, o Timura grodzie!
Tyś się wzmogło i rosło przez wieki
Wiecznie silne nigdy nie zmożone,
Tysiąc grodów wije ci koronę,
Z któréj płyną dyamentów rzeki.
Miasto święte Oktajowych dzieci,
Tyś jest wiernych chlubą i nadzieją,
Tobie wiosna najpogodniéj świeci,
Tobie róże najpiękniéj wonieją,
Wrogów ciebie zemsta nie dosięże,
U stóp twoich złość się próżno sili,
Bo w twych murach święci żyją męże!
I chanowie, którzy świat podbili.

* * *

W Samarkandzie gwarno; ludu chmura
Płynie ciągle i gong brzmi rozgłośnie,
Bo dziś w hordzie wielka radość rośnie,
Uroczysty dzień dziś dla Timura.
Ciesz się ziemio Ałłacha wybrana,
U godowych staje dziś ołtarzy
Pir Mohammed, syn wielkiego chana,
Pir Mohammed, pogromca mocarzy.
Jego Ałłach od kolebki chroni
I rycerzem swym mianuje szczerym
Zgnębion ciosem ciężkiéj jego dłoni
Pod Ancyrą padł wielki Ilderim,
On zwojował, w górach Tochtamysza,
Zgnębił Greków, którzy Akry strzegą,
I gdy cały świat zaległa cisza,
Słychać tylko potężny głos jego.

Dni trzydzieści wielkie gody trwały,
Dni trzydzieści fala ludu spływa,
I po Azyi rozbiega się całéj
Wieść radosna, że Timur spoczywa.

I trzydziestego dnia, nad grodem Lenga
Słońce zabłysło purpurą i złotem.
Tam kędy hordy największa potęga,
Kędy namioty zaległy pokotem,
I taką przestrzeń pokryły szeroką
I tak się w długie wyciągnęły sznury,
Że żyzne pola, namioty i góry
Zdały się jedną płócienną powłoką,
Szedł Timur.

Za nim zdążała potokiem
Złocistym, chanów i królów drużyna.
Pod każdym syna Taraghaja krokiem
Zdało się ziemia sama się ugina,
Umilkł gwar ludzi, ścichło rżenie koni,
Wszystko truchleje, drży i głowę kłoni.
W koło ognie obozowisk płoną,
Kręta droga w dal się wije w góry,
A przy drodze na głazie ponury
Siedzi starzec z głową pochyloną:
To Ibn Szochme; z krainy dalekiéj
On tu przybył pomiędzy Uzbeki;
To Ibn Szochme prawy syn proroka.
Jego mądrość natchnęła z wysoka;
On Alkoran przepisał trzy razy
I trzy razy w bożym złożył domie.
Dziś na głazie siedzi nieruchomie,
Głaz i mędrzec jak gdyby dwa głazy.
Zgiął od postów wychudzone ciało,
Kaftan na nim opada na strzępy,
Siwa broda spływa po kolana,
I źrenicą spogląda zmartwiałą
Jak go ludu mijają zastępy,
Powtarzając święte imię Pana.

Nagle surmy zabrzmiały wspaniale
I przed mędrcem, co siedział przy drodze
Stanął wielki Timur Leng w swéj chwale
A po za nim chanowie i wodze,
I Chan Timur uchyliwszy głowy
Dzungaritę temi uczcił słowy:

„Czemuż w głąb duszy spoglądasz swojéj
Jak w grób, dni szczęścia święcąc żałobą?
Powstań i spojrzyj, oto przed tobą
Chan całéj Azyi Timur Leng stoi.”

Ulem nie powstał na to wezwanie
I tylko spytał:
„Czego chcesz chanie?”
A Timur rzecze:
„Wszystkie narody
Dziś chwila szczęścia łączy jedyna,
Bo dziś obchodzim weselne gody
Mohammed-chana, mojego syna.
Więc w Samarkandzie ludów jak w ulu,
A każdy pokłon chanowi czyni;
Ludzie z Diarbeku, z Otrar, z Mossulu,
I z dalekiego Hindu bramini,
I Karizmianie z miedzianą szyją
Dziękują Bogu, i mnie że żyją,
Bo czczą Islamu we mnie przedmurze,
Wiedzą kto jestem, znają co mogę....”

Na to Ibn Szochme rzecze:
„Timurze
Kulejesz widzę na prawą nogę.”

„Tak rzecze Timur, to jeszcze z młodu
Śród zwycięzkiego hordy pochodu,
Gdyśmy przez Bałku zdążali błonia,
Złamałem nogę upadłszy z konia.
Lecz gdy Bajezyd lat cztery temu
Zelżył mnie słowem pełném niesławy,
Że ja, Timur Leng, Timur kulawy
Utykam nędznie u drzwi haremu,
Zebrałem hordę od krańców świata,
I padł w proch dumny syn Amurata.
A gdy mnie drażnił Hussein w Dżerbidzie,
Że moja zemsta kulawo idzie,
Dla ukarania płochych igraszek
Jam gród otoczył wojskami swemi,
I nazwę jego zmazawszy z ziemi,
Trzy góry z ludzkich rzuciłem czaszek.

Dziś one w stepie leżą zbielałe
Ludom na postrach a mnie na chwałę."

Ibn rzecze:

„Miałeś trudu niemało,
Lecz to ci nogi nie sprostowało."

„Nie, wciąż kuleję" Timur odpowie.—

„A więc cóż czynią twoi mędrcowie,

Którzy przed ludem prostują drogi?
Czyż ci przedłużyć nie mogą nogi?"

„To, rzecze Timur, nie mędrców dzieło."

„Ależ magowie i czarodzieje,
Tylu ich w państwie twém zasłynęło!
Nie znajdąć rady, gdy chan kuleje?
Czyż im cię leczyć braknie odwagi?"

„Nie, nie uzdrowią nogi i magi."

„Toż ci lekarze, co zdrowia strzegą,

Mądrości w sobie zwarli człowiecze,
Masz Szemszedina i Tebrizzego?"

„Nie, nie pomogą," Timur odrzecze.
„Bo ty Islamu moc i przedmurze
Nie chciałeś tego."

„Klnę się prorokiem

Chciałem"

Ibn Szochme zmierzył go wzrokiem:
„Kulawa twoja wielkość Timurze."

Wacław Szymanowski.



....Więc koń srokacz, a żona Magda,
Co ma Bóg dać to i tak da....

Pomysł i rysunek **Józefa Brodowskiego.**

ROMANTYCZNOŚĆ PRZED MICKIEWICZEM.

(Ustęp z większéj całości)

Napisał Adam Bełcikowski.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 4.)

Później za czasów Księztwa Warszawskiego przedstawienia tragedyj klassycznych przeplatano często świeżemi dramatami niemieckiemi w duchu szalonéj romantyki. Grano Zschockego, Spiessa, Schrodera, awanturnicze przygody rycerzy średniowiecznych, zjawianie się duchów na scenie, z potrzebnym do tego aparatem maszyneryi, bawiły publiczność i jednały jéj względy dla tego rodzaju widowisk. Osiński, który jako dyrektor teatru musiał robić pewne ustępstwa dla Szekspira, gorszył się tém nie bez racyi, zdając sprawę ze stanu sceny narodowéj w r. 1809, i tylko pragnieniem publiczności widzenia na tea-

trze coraz coś nowego, tłómaczył ten skład repertuaru, do którego wchodziły takie sztuki jak XVIII wieku począwszy, tłómaczono także bardzo wiele sztuk aż nazbyt płodnego Kotzebue- Merliniego; później od r. 1820 ukazywały się tłómaczenia Andrzeja (Dziewica Orleańska) i Ka-



Miłość Macierzyńska.

Maska żelazna albo Abelino bandyta wenecki, „płód dziwactwa i niesklejności.“ Od końca go. Z dramatów Szyllera najdawniej były przełożone (r. 1801): Don Karlos i Fiesko przez zimierza (Marya Stuart) Brodzińskich, bezimiennego we Lwowie (Marya Stuart) i innych.

Klawiga Getego przełożył 1821 r. Aleksander Fredro.

Ale co się działo na teatrze, najczęściéj z potrzeby i wyrachowania przedsiębierców, aby kassę napełnić, to nie mogło być uważane za jakąś normę dla literatury, i wpłynąć na zmianę zasad i smaku u literatów. Ducisowska romantyczność Szekspira była tolerowaną, bo mogła czasem zabawić publiczność, i miała na sobie stempel francuzki; nowych romantyków niemieckich nie potrzebowano się obawiać ani zważać na nich, bo ich utwory same siebie potępiały. Literatura szła więc daléj po torze ubitym jeszcze za czasów Stanisława Augusta—tylko coraz ociężaléj, krokiem coraz powolniejszym, nie przeczuwając nawet potrzeby reformy i wielkiéj rewolucyi, jaka niezadługo miała się odbyć w jéj łonie. Kilku pisarzy z poprzedzającéj epoki, zasłużonych i poważnych, kilku późniejszych po większéj części tłómaczy, składało ówczesne grono literackie w stolicy, dla którego punktem środkowym było Towarzystwo Przyjaciół Nauk. W innych stronach ruch literacki prawie nie istniał, a jeśli był gdzie jaki, to ciążył ku Warszawie.... W tym samym czasie tylko K. Brodziński w Warszawie i J. N. Kamiński we Lwowie, w świecie literackim jeszcze nieznani, nauczywszy się po niemiecku w szkołach galicyjskich, rozczytywali się w dziełach niemieckich a mianowicie w ulubionym przez obu Szyllerze i filozofach, którzy położyli zasady nowéj estetyki.

O nowym ruchu umysłowym za granicą, o poezyi romantycznéj, pierwszą wiadomość znajduję dopiero w r. 1816 w Pamiętniku Warszawskim, redagowanym wówczas przez Bentkowskiego, znanego autora Historyi Literatury. Jest to rozprawa o literaturze angielskiéj, a mianowicie pochlebna krytyka Byrona i Walter-Skota; artykuł tłómaczony z francuzkiego pisma „Bibliothèque universelle“ wychodzącego w Genewie. Z téj saméj Biblioteki przetłómaczono także w roku następnym w Pamiętniku rozprawę o najnowszych poetach niemieckich, a twórcach tak zwanéj romantycznéj szkoły. Ci poeci podzieleni tutaj zostali na dwie klassy: jedni (jak Novalis), którzy wprowadzają do poezyi filozofię natury, i przez to stają się tak ciemni i mistyczni, „że ich trudno zrozumieć;“ drudzy „którzy robią wiersze na wzór poetów XII i XIII wieku,“ dla przypomnienia ziomkom dawnéj świetności Niemiec i dla rozbudzenia w nich ducha patryotycznego. Według słów rozprawy początek tego drugiego kierunku literatury niemieckiéj datuje się od czasu ujarzmienia Niemiec przez Napoleona. „Gdy wojska francuzkie obozowały w Niemczech, i gdy książęta uniżali się pod jarzmem zwycięzcy, wówczas wszystkich poruszali sprężyn dla obudzenia narodu, i aby mu dać poznać jego spodlenie.“

Nie bez niejakiéj wartości może być i ten drobny szczegółik, że w Pamiętniku Warszawskim z r. 1816 znajdujemy także po pierwszy raz jedną z romantycznych form poezyi. Mianowicie jest-to wcale udatny tryolet, z objaśnieniem tego gatunku wierszy, napisany przez T. D. M (inasowicza):

> Strzedz razem serca i trzody
> To na pasterkę za wiele,
> Ileż to można mieć szkody,
> Strzegąc i serca i trzody, i t. d.

Minasowicz napisał jeszcze kilka takich tryoletów, drukowanych w Pamiętniku Warszawskim w r. 1817 i 1822—które zatém są po części dawniejsze od tryoletów T. Zana.

To były najpierwsze słuchy, jakie doszły do nas o narodzeniu się nowéj poezyi między germańskiemi narodami. Wiadomości nader szczupłe i niedostateczne; zdaje się jednak, że chociaż w ówczesnych pismach peryodycznych nie wiele o tych rzeczach pisano, choć na płodach literackich nie znać było śladu nowych zagranicznych wyobrażeń, sprawa ta, tak wiele hałasu robiąca w Europie i przez krajowe dzienniki z lekka poruszana, musiała zająć żywo niektóre przynajmniéj umysły, i stać się przedmiotém dyskussyi i rozmów towarzyskich, jeśli nie w kołach literackich, to na salonach i między młodzieżą. Zaczęto także już wtenczas czytywać angielskich i niemieckich poetów w oryginale; liczba tych czytelników rozumie się nie mogła być wielką, bo po angielsku albo po niemiecku bardzo mało kto umiał. Wyraz „romantyczność,“ który później stał się hasłem jednego obozu i jabłkiem literackiéj niezgody, nie pojawił się jeszcze na piśmie, chociaż zapewne znalazł się już na niejednych ustach.

Pierwszym, który go głośno wypowiedział, był K. Brodziński, podówczas nauczyciel literatury polskiéj i stylu w konwikcie pijarskim na Żoliborzu. W r. 1818, w pięciu miesięcznikach Pamiętnika Warsz. od marca do lipca, umieścił on rozprawę p. t. „O klassyczności i romantyczności, tudzież uwagi nad duchem poezyi polskiéj.“

Brodziński napisał ją w przeczuciu téj zmiany, jakiéj poezya polska niedługo uledz miała, a może także po części opierając się na tém, co do koła siebie widział i słyszał. Będąc przekonanym że ruch zagraniczny, a szczególniéj wpływ niemieckiéj literatury, wcześniéj czy późniéj musi przełamać szranki pseudoklassycyzmu i udzielić się polskim umysłom, rozpoczyna rzecz swoją od rzucenia okiem w przyszłość. „Zdaje się teraz (powiada) dla poezyi polskiéj nadchodzić pora, w któréj zaczynającemu, wahać się potrzeba nad obraniem drogi do przybytku pamięci, to jest, czyli tak zwaną klassyczność, czyli tak zwaną romantyczność ma obrać?“

Jak więc widać, rzeczy zaszły już dość daleko skoro można było uczynić taki dyllemat.... Bardzo sprawiedliwie jednakże ta rozstajna droga wydaje się autorowi błędem wynikłym z jakiegoś nieporozumienia, bo przecie poezya zawsze jest tylko jedna, i o dwóch poezyach mowy być nie może. Tłómaczy zatém tę dwojakość fałszywém rozumieniem poezyi klassycznéj i romantycznéj, skoro powszechnie przez pierwszą bywa rozumianą nie klassyczna prawdziwie literatura grecka, lecz to wszystko co zbliża się gustem do poezyi rzymskiéj z czasów Augusta i francuzkiéj z czasów Ludwika XIV, a przez drugą wyłącznie tylko poetyczne utwory wieków średnich.

Z tego fałszywego pojęcia wyniknąćby musiała konieczna szkoda dla literatury polskiéj, bo zwolennicy jednego kierunku staraliby się nadal utrzymać literaturę w zależności od francuzczyzny, stronnicy zaś świeższych wyobrażeń chcieliby przerobić ją na sposób niemiecki. „I tak niestety, na ziemi rodzinnéj możemy się spodziewać okrzyku dwóch stronnictw: Francuzczyzna albo Niemczyzna!...“ Brodziński ani jednego ani drugiego sobie nie życzył, i skutków naśladownictwa niemczyzny i romantyczności, bez należytego zgłębienia jéj ducha, więcéj się jeszcze obawiał niżeli „wiary w gust francuzki.“

Chwila obecna, jak się na samym wstępie wyraził, wydawała mu się decydującą; przeczuwał walkę dwóch stronnictw, i chwytał skrzętnie sposobność zapobieżenia, ażeby ani jedna ani druga strona stanowczego nie odniosła zwycięztwa, to albowiem byłoby dla narodowéj literatury zawsze porażką. W zamięszaniu, jakieby ta walka zrodziła, chciał uzyskać możliwe dla niéj korzyści; ciesząc się, że powaga starego a źle zrozumianego klassycyzmu została zachwianą, wykazywał zalety nowych pojęć, ostrzegając jednak, aby ich nie brać bez wyboru, gdyż nie wszystkie z duchem narodowym pogodzić się dadzą. W tym celu przebiega dzieje klassyczności, pragnąc przedewszystkiém utrwalić różnicę między prawdziwym a rzekomym klassycyzmem, i zastanawia się nad romantycznością, tłómacząc współziomkom to nowe dla nich a dotąd zamglone pojęcie. W tym punkcie uwaga jego na to jest skierowana, aby zniweczyć błędne wyobrażenie: iż romantyczność jest własnością tylko średnich wieków, wykazuje bowiem, że i poezya pierwotna każdego narodu, z czasów jego patryarchalnych jak się wyraża, również do romantyczności należy, jako też że i nowoczesna niemiecka poezya, duchem filozoficznéj mistyki przesiąkła, jest utworem tejże saméj Muzy.

(d. c. n.)

HEROD-BABA

OPOWIADANIE DZIADKA

spisane przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 4).

Więc zaraz konia do kółka przywiązawszy, zaczął się stary krzątać około dworu, aby dokładną powziąć informacyę co ma czynić, komu wierzyć i jak sobie postępować. Za żadne w świecie pieniądze nie byłaby takiego rządcy i plenipotenta dostała, jakiego sobie jednym kupiła uśmiechem. Mioduszewski cały dzień po wszystkich kątach chodził, tropił, oglądał, pytał, aby potém żadnéj nie miał wątpliwości. Naostatek dzień ów wielki wyjazdu, ciągle odraczany, zbliżył się — wszystko gotowe było, kolebka, pasy, koła, siodła, konie, stryj Eligi z węzełkami swojemi. Zjechali *insperate*, rodzice oboje, przybył Mioduszewski, ludzi co było na folwarku zbiegło się, patrzeć na wyjazd ten pani swojéj... Elżusi na łzy się trochę zbierało, a no ich nie puściła, kręciła się do ostatka żwawo. Nie zapomniała o krócicach nabitych, żeby je pod ręką mieć, ani o prochu i kulach do pistoletów Eligiego i jezdnych. Kolebka i wóz stały w pogotowiu, konie pokulbaczone, tłomoki popprzysznurowywane; odprawiło się nabożeństwo, pożegnała prędko wszystkich, nie dając się nikomu zbytnie rozczulać i rozmazywać, skoczyła w kolebkę kłaniając ojcu i matce i w chwili gdy ojciec karawanę żegnał i błogosławił, koniom ruszać kazała.

Na drugim noclegu przed Warszawą zastali gospodę, do któréj pod wieczór dążyli na pewno, tak napchaną końmi i ludźmi, że już się do niéj wcisnąć nie było sposobu. Słońce zaszło było właśnie i mrok w lesie padał gęsty. Stryj Eligi, który wysiadł z kolebki, żeby nocleg opatrzyć, powrócił z twarzą przeciągniętą i wąsami opuszczonemi.

— Co tu robić? moja dobrodziejko — rzekł: ani sposobu się do karczmy docisnąć, tyle ludzi i koni, różnego tałałajstwa, zbieranéj drużyny, iż

nocować ani myśleć. Panów i chłopów sienie pełne, a w karczmie jak we młynie, kto pierwszy zajedzie ten pan... trudno wyganiać. Tymczasem noc nadciąga, koniska łby pospuszczały zmęczone.

— A! ozwała się Elżusia: juści kobiecie ktokolwiek izdebki ustąpi — a konie i jezdni choćby się obozem położyli — niech no stryjaszek lepiéj poprobuje.

Poszedł pan Eligi po głowie się skrobiąc. Za Zygmusia, kiedy doma ucztował, gości w nim bywało mnóztwo, trafili się i z różnych stron przejezdni, mieli tedy znajomości co niemiara po świecie całym. Ledwie stryj od kolebki odpadł, gdy dorodny mężczyzna, po podróżnemu a raczéj po domowemu ubrany, przystąpił do niego.

— Wszakci Okoń, jeśli mnie oczy nie mylą?

— Ten sam, Eligi, do usług — a kogoż mam honor?...

— Jakżeś mnie nie poznał, Trzaska!! pamiętasz to, jakeśmy u Zygmusia pili razem z kulawki?

— A! jakże, Trzaska! pomnę.

— Cóż wy tu robicie pośród gościńca?

— W biedzie jestem, synowica, właśnie oto Zygmuntowa, jedzie ze mną, a tu nie ma gdzie przenocować.

— Jakto nie ma gdzie? krzyknął Trzaska, strzelilbym do was, żebyście do dworu nie zajechali— o staje. Toć to karczma moja, a dwór za lasem tuż. Nawracaj! zawołał na woźnicę — ja na koń siadam i prowadzę.

— Czekaj! stój! zatrzymując go zawołał stryj Eligi — Bóg raczy wiedzieć czy się moja synowica zgodzi, a juści do niéj nie strzelicie!

— Jak się nie ma zgodzić? ofuknął Trzaska, dla czego? a kiedyż to kto dobrém sercem ofiarowaną gościnę odrzucił?

I postąpił, zdjąwszy węgierską czapeczkę z głowy, do kolebki.

— Miłościwa pani, rzekł — przypominam się jéj, Trzaska jestem z Czerwonéj Kamienicy, bywałem w domu waszym, dom mój o staje. W gospodzie miejsca nie ma, ale dwór na usługi wasze. Stara matka i ja, oboje was przyjmiemy sercem całém.

Elżusia się skłoniła tylko.

— Nawracaj! za mną! zawołał Trzaska dosiadłszy konia. Stryj do kolebki się dostał, nie było co już próżnych czynić refleksyj, nie mieli też nic do wyboru; pojechali do Trzasków.

Po za lasem mroku się trochę ujęło, widać było nieopodal wioskę znaczną i dwór, który niedaremnie zwał się Czerwoną Kamienicą. Niewiadomo który z Trzasków upodobawszy znać w Prusiech czerwone mury z toruńskiéj cegły, sprowadził był do siebie majstrów i dla fantazyi pańskiéj, wystawił sobie dwór niby malborskiego zamku kawał. Niewielkie to było, a wyglądało dziwnie i nie brzydko. Ludzie nie nawykli do takich budowli, brali to zdala za kościół, a pospólstwo dwór, potém i wieś od niego poczęło zwać Czerwoną Kamienicą. Było więc gdzie gościa pomieścić, bo budynek był obszerny, a w nim tylko jeden Seweryn Trzaska i stara matka jego.

Trzaska miał lat pod czterdzieści, a jeszcze się był nie ożenił, jakoś się ociągał i obawiał tego złotego jarzma. Człek był wesół, ochoczy, gorączka, sejmikowicz zawołany, na obywatelskie posługi gotów, myśliwy, tancerz sławny, dobry towarzysz, ale trochę próżniak mimo zajęć tylu. Matka gospodarzyła, on się najczęściéj od komina do komina włóczył, trudno go było do domu napędzić. Pragnęła stolnikowa bardzo ożenić go, aby się trochę ustatkował — ale się wykręcał bardzo zręcznie, powtarzając zawsze: — Stolnikowo dobrodziejko, będzie na to czas! będzie czas!

Dowodził, że dziadowie nie żenili się przed pięćdziesięciu... i dobrze im z tém było — nie mówił czy też i żony rade być miały takim mężom.

Gdy na drogę do dworu wjechali, Trzaska konia spiął i jak strzała przodem świsnął, aby powóz ciężki i zwolna się toczący wyprzedzić, a matce dać znać. Tak się uwinął dobrze, iż stolnikowa narzuciwszy czarny kwefik, była już u ganku, gdy Elżusia z kolebki wyskoczyła.

— Darujesz mi pani, że jéj tu niespodzianie spadam, odezwała się Piętkowa — ale to wina nie moja po części, raczéj łaskawego jéj syna, który nas tu gwałtem prawie zagarnął.

— Moja mościa dobrodziejko! odpowiedziała staruszka — to mu się bardzo chwali — bo obowiązku dopełnił.

Weszli tedy do dworu na podziw pięknie wewnątrz i pańsko urządzonego. Znać było dostatek wszędzie i porządek wielki. Rozmowa z razu toczyła się obojętna, wreszcie nie widząc męża przy jejmości, nie domyślając się nic, poczęto dopytywać o cel podróży i o Zygmusia, którego Trzaska znał.

Odpowiedziała Elżusia ni to ni owo, półgębkiem, Eligi też jeszcze się niezgrabniéj starał wykręcić. Musiało to uderzyć pana Seweryna, że coś w tém jest, iż tak mu niewyraźnie bąkają, począł sobie przypominać coś... i stryja Eligiego zaparł do kąta.

— Przebaczysz mi pan, rzekł, niedyskretne może pytanie... Coś mi po głowie chodzi, a nie dobrze sobie przypominam, czy nie jestem w błędzie? Byłem niedawno w Warszawie, tam o Piętce... bodaj czy nie o mężu jejmości coś gadano... gadano... a no — dalipan nie wiem czy o tym samym, jakoby do... Saksonii pojechał.

Spojrzał stryjowi w oczy, ten się zmieszał mocno...

— A no, może być, może być — odparł cicho — bo go w domu nie ma.

— I nic o nim nie wiecie?

Tak zagadnięty stryj już nie wiedząc jak się wywinąć, ścisnął potajemnie dłoń Trzaski i szepnął: — Chodźmy gdzie daléj na bok, powiem wszystko... *(D. c. n.)*

KORRESPONDENCYA.

Berlin, w końcu Grudnia 1871 r.

Rozpoczynając stosownie do zaszczytnego dla mnie wezwania korrespondencyę do „Wieńca" ze stolicy prusko-niemieckiéj czy niemiecko-pruskiéj, znajduję się w niezupełnie łatwém położeniu. Proszono mnie abym się nie bardzo wdawał w politykę, któréj wszyscy pono mają do syta. Byłoby to bez wątpienia wielkiém dobrodziejstwem i wielkiém ułatwieniem zadania dla kronikarza berlińskiego z przed roku 1848, ale późniéj a zwłaszcza dzisiaj warunek ten stoi mu na zawadzie, ile razy chciałby puścić wodze pisarskiéj wenie. Jakże daleko po za nami te czasy, kiedy Berlin był istną rzeczpospolitą uczonych, kiedy nosił nie bez słuszności nazwę Aten z nad Sprei, kiedy Humboldt ze swego mieszkania na Oranienstrasse królował uczonym, kiedy przechadzającemu się pod lipami Varnhagenowi robiono z uszanowaniem miejsce, kiedy Bettina Arnim z naiwnością dziecka czy ze śmiałością średniowiecznego trefnisia, pisywała z pobłażaniem przyjmowane listy politycznéj treści do króla Fryderyka Wilhelma IV, kiedy wojna między epigonami Hegelianizmu a Schellingiem zajmowała więcéj publiczność berlińską od pogromu pod Sadową, lub przyjazd Liszta wywołały większe entuzyazmy od nawiedzin Paryża? Łatwo wtedy było z Berlina pisać o *nie*-polityce, bo życie literackie, naukowe, artystyczne, pulsowało natenczas przyspieszonym, gorączkowym, absorbującym wszystko biegiem, kiedy polityka wewnętrzna ograniczała się na prozaicznéj administracyi według tradycyjnego szablonu, a skromna polityka zewnętrzna na potakiwaniu wszelkim zachciankom konserwatyzmu europejskiego. Jakże inaczéj dzisiaj! Dzisiaj zamieniły się nadsprejskie Ateny na stolicę nowoczesnéj Macedonii; stawiają w niéj wprawdzie na placach publicznych posągi Schillerowi, oddając mu cześć w podobny prawie sposób, jak kiedy Aleksander czcił Homera, używając grzecznie jego Iliady i Odyssei za poduszkę i *vademecum* kampanijne, lub korzystał z nauk macedońskiego Hegla, Arystotelesa, — ale trudno się łudzić co do prawdziwego charakteru stolicy. Muzeum sztuk pięknych, rzeczpospolita uczonych, miasto nauki, zamienia się powoli na olbrzymie koszary i olbrzymi parlament. Mustra i parady wojskowe, nieustanny łoskot młyna parlamentarnego, — otoż co uderza w dzisiejszym Berlinie, któremu tém spostrzeżeniem bynajmniéj ubliżać nie mamy zamiaru, a który dokłada wszelkich starań, by, mimo wszystko co się stało i mimo wszelkich przemian, jakie jeszcze nastąpić mogą, zachować swą dawną, tradycyjną sławę, by zyskawszy stanowisko Macedonii, nie stracić imienia Aten. Zaczynając od zewnętrzności, buduje się i rozpiera Berlin na wszystkie strony, prostuje swe ulice, zakłada fabryki, wznosi ozdobne wille w *Thiergartenie*, improwizuje nie mniéj ozdobne *Parlamentsgebaüde* na ulicy Wilhelma, ku wygodzie przybocznéj rady księcia kanclerza, noszącéj nazwę reprezentacyi politycznéj Niemiec. Posąg króla Fryderyka Wilhelma III stanął w Sierpniu na *Lustgartenie*, posąg Szyllerowy w Listopadzie na placu Żandarmów. Muzea sterczą i stoją, jak dawniéj; uniwersytet błyszczy ciągle, jak dawniéj, na zewnątrz złotym napisem *almae matris*, a na wewnątrz cieszy się wykładem Gneistów, Dreysenów, Mommsenów, Ranków, Traubów i Frericksów, — trudno jednakże zaprzeczyć, iż owo uczone niby to i artystyczne *dzisiaj*, nie jest w niczém podobne do uczonego i artystycznego *wczoraj*, oraz że na pierwszym planie sterczy nie co innego, jak nieprzyjemna dla was *polityka*. Wierni jednakże obowiązkom naszego zadania, starajmy się pisząc ztąd i zastanawiając się nad tutejszemi stosunkami, uniknąć przecież trudnego szkopułu i wkraczać jak najmniéj w dziedzinę polityczną. Jeśli nam się nie powiedzie, poddajemy się z góry wszelkim z waszéj strony skarceniom gotowi poprawić się jak karany przez matkę za winszowanie Wirgiliusz! *Jam, jam versus non faciam, carissima mater!* Po tym wstępie, wchodzimy *in medias res* i rozpatrujemy się bez wszelkich intencyj politycznych, po społeczeństwie berlińskiém. Czyż weźmiecie mi za złe, jeśli usuwając z pierwszego planu, na chwilę przynajmniéj, sztukę, teatr, literaturę, a nawet co trudniejsza daleko, świecącą nam ze wszystkich okien berlińskich wystawę świąteczną, — rzucimy okiem na stosunki społeczne bruku berlińskiego i na jego pauperyzm? Jest to rzecz tém naturalniejsza, iż blizka, iż uderzająca na pierwszy rzut oka, iż zatrudniająca baczną a wielce kłopotliwą troskliwość nie mniéj sfer rządzących, jak całéj niemal prassy i wszelkiego odcienia stronnictw. Dzięki niesłychanym powodzeniom kilku lat ostatnich, skoczyła ludność pruskiéj stolicy o dwukroćstotysięczną cyfrę, przynosząc jéj jednakże z czasem wszelkie podobnego przybytku niedogodności. Jeszcze na rok przed wojną francuzką, uchwalił parlament północno-niemiec-

ki, idąc za prądem owego nie obliczającego się często z rzeczywistością liberalizmu prawo swobody wędrowania (Freizugigkeitsgesetz), które otworzyło istne szluzy wszystkim dobrym i złym, wszystkim większym i mniejszym, literackim, przemysłowym i robotniczym nawet pokusom czy ambicyom całych Niemiec: szukania szczęścia na bruku berlińskim. Popłynął tedy ogromny strumień nowych przybyszów do stolicy pruskiéj, niepodobna zaprzeczyć, przekształcił radykalnie jéj stosunki. W miarę tak olbrzymiego przypływu ludności, nastała od razu wielka trudność ich pomieszczenia, niedostatek mieszkań, wreszcie drogość niepraktykowana wszelkich przedmiotów życia. Berlin, dawniéj miasto poczciwego *Spiessbürgerthum*, dozwalające istnieć i mniéj w skarby tego świata uposażonym śmiertelnikom, za cenę umiarkowaną, nie przechodzącą wcale zakresu ich szczupłych środków, może teraz w drogości wszelkich artykułów życia rywalizować bezpiecznie z Paryżem i Londynem. Nie dość na owych *zewnętrznych* następstwach tego nagłego wzrostu ludności berlińskiéj, porównalibyśmy pod względem *wewnętrznym*, kwalitatywnym,—jeśli wyjątkowo wolno użyć tego niepoprawnie utworzonego wyrazu, — ów przypływ obcych żywiołów ze szkodliwą skutecznością deszczowéj, spływającéj z gór wody, zatruwającéj i zanieczyszczającéj przezroczyste i jasne potoki strumyków. Bieda i chęć szukania szczęścia, — otoż dwa czynniki, które się złożyły na ową immigracyę do stolicy pruskiéj z zewnątrz. Znać je też aż nazbyt w niezupełnie niedostrzegalnéj fizyonomii Berlina z obecnéj chwili. Rozkołysały nadto społeczność powodzenia wojenne, może i trochę luźna praktyka wojenna, jaka się traktowała bezkarnie i bezprzeszkodnie we Francyi, właściwa epoce dzisiejszéj chęć zysku, znaczny obieg pieniędzy, wreszcie, jak zaręczają pietyści i konserwatyści, owa wnikająca wszędzie, jak niedostrzegalny płyn chemiczny, literatura brukowa, uliczna i kolejowa, karmiąca wyobraźnię niedojrzałych czytelników samemi tylko obrazami domów rozpusty lub kryminalnych zbrodni. Rezultaty statystyczne wszystkich tych czynników połączonych razem, nie są, jak bardzo naturalnie, zbyt pocieszające i przedstawiają smutny obraz społeczności berlińskiéj wśród wszelkiego blasku wojennych przewag i tryumfów. Że zaś tak jest istotnie i że przesada żadnéj w tém nie odgrywa roli, najlepszym dowodem zgoda w tym względzie całéj publicystyki i wszelkiego rodzaju odcieni politycznych, każdego z nich naturalnie po swojemu. I tak woła reprezentowany w parlamencie i prassie przez pp. Schweitzerów, Sonnemannów, Beblów i Liebknechtów socyalizm niemiecki, iż złe jest, ale zażegnać je można tylko radykalną reformą stosunków społecznych. Zwolennicy stronnictwa krzyżowego zwracają się do kościoła i wielkich zasad zachowawczych, narodowo-liberalizm i giełda domagają się opieki władz bezpieczeństwa. Tymczasem jednakże, kiedy wszyscy jeszcze znajdują się w stanie rady wojennéj przeciw zbliżającemu się nieprzyjacielowi, nieprzyjaciel ten, nie czekając co go spotka, wtargnął do domu, zaniepokaja go i naraża na niebezpieczeństwo. Znaczna część pauperyzmu berlińskiego bez dachów i bez pracy, bezpieczeństwo publiczne i własność narażone, przypadki napaści na osoby po ulicach Berlina coraz częstsze, prostytucya zwiększona do ogromnych rozmiarów, liczba kryminalnych *causes célèbres* coraz poważniejsza, zastęp osobistości dotkniętych wyrokami sądów karnych, wzrastający według niezaprzeczonych danych oficyalnéj statystyki do *armii* przeszło *sześćdziesięciotysięcznéj!* Otoż smutny, ciemny obraz, jaki nam przedstawia stolica nowego Cesarstwa Niemieckiego od dołu, w ostatnich dniach roku tryumfu swego nad Babilonem Zachodu, okrąg—w którym nam dla sumienności dziennikarskiéj zajrzeć należało wprzódy, nim zajrzymy w odwrotną stronę medalionu, nim się przypatrzymy wspaniałościom berlińskim, nim zrobimy przegląd jego życia naukowego, literackiego, artystycznego, a przedewszystkiém, jak na obecną właśnie chwilę, *gwiazdkowego*. Jeżeli bowiem jest w Niemczech uroczystość obchodzona świetnie, ogólnie a prawdziwie świątecznie, to jest z pewnością *Heiliger Christ*, patron dzieci, roztaczający przecież skrzydła swe opiekuńcze i nad starymi! Dwa najrealniejsze i najmniéj szczerym poporywom względem innych ulegające narody Europy, Niemcy i Anglicy, stają się w wigilię Narodzenia Pańskiego dziwnie uczuciowymi i dziwnie szczerymi. Cieszą się w gronie rodzinném i bawią po dziecinnemu, obdarzają dzieci zabawkami, starszych *gwiazdkami* wszelkiego rodzaju, a całe życie przybiera odpowiedni téj krótkiéj chwili zakrój i nastrój. Przez cały tydzień przedświąteczny zamienia się Berlin, tego roku właśnie świetniéj niż kiedykolwiek, w magazyn osobliwości, z wystawą artystyczno-przemysłową, która się z tysiącznych składów zapowiada, z zapadającym wieczornym zmrokiem przez błyszczące jaskrawém światłem zwierciadlane szyby, a która ściąga mnóztwo ciekawych i kupujących aż do późnéj nocy. Na ten rok popisały się najpiękniéj *Lipy* z przyległą tam *Friedrichstrasse*; znajdzie się tu istotnie w doborze i komplecie wszystko, co tylko wyobraźnia ludzka pomyśleć i wymarzyć może, począwszy od dziecinnych łakoci, skończywszy na obrazach i przedmiotach sztuki, *Festgeschenke*, prezenta świąteczne, otoż co zapowiadają wszystkie afisze i inseraty gazet. Niezrówniany istotnie światłocień z obrazem, który nam przyszło skreślić nieco wyżéj, z obrazem nędzy i występku, jaki się roztacza ponuro na spodzie społeczeństwa stołecznego. Dobroczynność zresztą nie usypia wśród tego wszystkiego. Małżonka Księcia Karola, stowarzyszenia i osoby prywatne urządzają wystawę na rzecz ubóżtwa miejscowego. Cóż naturalniejszego, jak że w pierwszym rzędzie znajduje się uwzględnioną zasługa minionéj wojny, ranni, wdowy i sieroty, rodziny zubożałych landwerzystów? *Oni* na czele, jak w ogóle; nawet w téj familijnéj uroczystości na przedzie wrażenia wojenne, począwszy od zabawek dziecinnych przedstawiających karrykatury Napoleona i klękających przed huzarami zuawów, skończywszy na świątecznych publikacyach literackich, nie znających innego przedmiotu, jak bitwy Sedańskie i oblężenia Metzu lub Paryża. Dym zwycięztw jest odurzającym nawet dla najsilniejszych głów. Kończę jednakże z obawy, bym rozszerzając się nad tym tematem, nie wkroczył w dziedzinę uprzykrzonéj polityki.

Rysunki Leona Kunickiego.

PORTRETY Z PARAFII.



Nr. 1. Sędzia Pokoju, Członek Rady Opiekuńczéj Zakładów dobroczynnych powiatu, Radca Dyrekcyi Drogowéj etc. etc, wszystkie te urzędy złamanego szeląga mu nie przynoszą.

MIŁOŚĆ MACIERZYŃSKA.

Autorem obrazu przedstawiającego tak wymownie miłość macierzyńską jest Franciszek Majerheim bardzo zdolny a młody malarz niemiecki, (urodzony 1838 roku, syn znanego dobrze wszystkim miłośnikom sztuki malarza, zamiłowanego w scenach z życia potocznego). Syn od ojca różni się tém, iż obiera przedmioty bardziéj uczuciowe, gdy Edward Majerheim przekładał stronę malowniczą życia, wprowadzając do prac swoich cały zasób postaciowego piękna, krajobrazy, zwierzęta domowe i t. p. W Berlinie młody Majerheim ma już imię ustalone; przepowiadają temu artyście przyszłość świetniejszą od małéj karty, jaką ojciec jego w sztuce współczesnéj zajmuje.

Do niniejszego Numeru dołącza się dodatek.

DODATEK DO „WIEŃCA" Nr. 5-go.



Muzyka tak się u nas rozwielmożniła, tyle czasu zabiera, tyle kosztów wymaga, że żadne pismo pragnące być mniéj więcéj wiernem odbiciem naszego społeczeństwa, pominąć jéj nie może. Bardzo naturalnie nasuwa się tu pytanie, dla czego w piśmiennictwie naszém peryodycznéj muzyka nie ma organu oddzielnego, specyalnie jéj poświęconego? Wszystkie próby w tym rodzaju w rozmaitych czasach przedsiębrane, nie mogły się długo utrzymać, z wyjątkiem tylko „Ruchu Muzycznego," pisma dzielnie i umiejętnie prowadzonego, które sześć lat przetrwać zdołało. Rzecz bardzo prosta. Muzyka we właściwém a więc zacném znaczeniu pojmowana bardzo nie wielką ilość osób u nas zajmuje. Reszta osób, niby to muzyką się trudniących, wcale o niéj nawet nie myśli. Wystarcza jéj aż nadto surrogat muzyki — muzykowanie. Muzykujący owi uwzięli się ten surrogat koniecznie muzyką nazywać, bo to próżności ich pochlebia, i dobrze im z tém. Czy muzyce prawdziwéj z tém dobrze, to rzecz inna. Ale cóż to ich obchodzić może? byle im dobrze było. Niech sobie prawdziwi artyści troszczą się o losy, postęp i krzewienie sztuki. Oni zaś będą tłuc, rzępolić i piszczeć, a nawet komponować i kompozycye swe drukować, dedykując je jak najznakomitszym osobom, a znajdą się zapaleni ich talentów wielbiciele, którzy ich okrzykną artystami, a nawet geniuszami. Takich pseudo-muzyków (pod tą nazwą obie płcie obejmujemy) pismo poważnie sztukę traktujące bynajmniéj zajmować nie potrafi. I z tego powodu organ specyalnie muzyce poświęcony jeszcze u nas dotychczas istnieć nie mógł, bo tylko ludzie sumiennie i poważnie sztuką się trudniący, mogliby go podtrzymywać, a takich liczba zbyt była dotychczas małą, żeby zdołała takiemu pismu specyalnemu byt zabezpieczyć.

Że taki kierunek dowodzi wadliwości wychowania, hołdującego raczéj bezmyślnéj modzie, niż istotnym potrzebom, to wcale wątpliwości nie podlega, i o tém kiedyś w piśmie naszém obszernie pomówić zamierzamy.

Wprawdzie Towarzystwo Muzyczne mając już byt utrwalony, i dość już znaczne środki, gdyby pilniéj pamiętało o swym celu w ustawie jego wskazanym, toby już pomyśleć powinno o wydawnictwie własnym kosztem pisma wyłącznie muzyce poświęconego. Tak znaczna ilość członków Towarzystwa już może byt pisma gwarantować, bo zdaje się na pewno przypuszczać można, że każdy członek Towarzystwa byłby zarazem i prenumeratorem pisma przezeń wydawanego. Gdyby zresztą prenumerata koszta wydawnictwa i nie zupełnie pokrywała, to deficyt ten Towarzystwu ponieść by wypadało. Podajemy tę myśl pod rozwagę Komitetu Towarzystwa w nadziei, że zastanowiwszy się nad nią sam przyzna, iż rozpocząwszy drugi rok istnienia i będąc tak silnie przez publiczność popieraném, Towarzystwo obowiązane jest i już jest w stanie rozpocząć odważnie sztukę uprawiać, nie zaś na czczych zabawkach czas i siły marnować. Publiczność ochoczo się garnie, płaci, łaknie pokarmu posilnego, bo jest wygłodzoną straszliwie, a dostaje zamiast niego cacka, bawidełka albo... karykatury. Potrąciliśmy tę kwestyą pobieżnie, lecz nieraz w piśmie naszém o nią zawadzimy, bo uważamy Towarzystwo Muzyczne za rzecz dla nas ważną, może nawet za ważniejszą niż samo Towarzystwo siebie uważa.

Ale zboczyliśmy nieco z drogi, więc powracamy.

Dotychczasowy stan rzeczy niedozwalający zdobyć się na pismo specyalne, zmusza wszystkie peryodyczne mniéj lub więcéj gruntownie śledzić wszelkie objawy muzyki u nas i mniéj lub więcéj trafne ferować o nich wyroki. Bo przecie objawów tych liczba jest mnoga, więc przemilczeć o nich niepodobna, tém bardziéj, że pomiędzy tłumem niedołężności trafiają się od czasu do czasu prawdziwe klejnoty, wzbogacające skarbnicę sztuki, a nam przynoszące naukę, wzory, zaszczyt i chlubę.

I nasze więc pismo gałęzi téj pominąć nie może i zajmować się nią będzie o tyle, o ile to będzie uważać za potrzebne i korzystne dla saméj sztuki, bynajmniéj się nie krępując zobowiązaniem się terminowego wypełniania oznaczonéj na to rubryki.

Wyznania wiary naszéj w sprawie muzyki i punktu, z jakiego na nią się zapatrujemy, formułować tu i wypowiadać nie czujemy wcale potrzeby, gdyż czytelnicy sami to odgadną i poznają ze sposobu, w jaki muzykę traktować będziemy. Czy zaś potrafimy się utrzymać w granicach bezstronnéj sprawiedliwości? o to usilnie starać się będziemy; o ile nam się uda to osiągnąć... to już przyszłość pokaże.

Od niejakiego czasu publiczność nasza spostrzedz musiała pożądany zwrot w kierunku Dyrekcyi Teatralnéj, usiłującéj widocznie prowadzić sztukę po drodze właściwéj i pragnącéj nowemi usiłowaniami zatrzeć grzeszne ślady pozostawione przez Offenbacha. Usiłowania te nie są wcale dwuznaczne, i sprawiedliwość każe im przyklasnąć. Gdyby to jeszcze zaniechano owego tradycyonalnego zwyczaju powolnego przybierania się do wystawienia nowéj sztuki, jak n. p. „Beaty" Moniuszki, operetki w jednym akcie, którą już oddawna repertuar teatralny ciągle zapowiada i wciąż odwołuje. Żeby to... ale tych *żeby, gdyby* długi jeszcze szereg pozostaje. Będziemy mieli czas wszystkie je zaczepić przy sposobności.

Przed kilku miesiącami wystawiono operetkę młodego kompozytora Hofmana p. t. „Żaki." Chociaż to jest utwór słaby i żadną oryginalnością nienacechowany, jednak Dyrekcya słusznie postąpiła wystawiając go na scenę, bo tym tylko sposobem dowiedzieć się może o prawdziwéj wartości kompozycyi i zachęca innych do pracy na tém polu. Nie zgadzamy się wszakże na zdania niektórych krytyków potępiających ten utwór bezwzględnie i odmawiających p. Hofmanowi wszelkich warunków kompozytorskich. Jeżeli „Żaki" pozbawione są twórczości oryginalnéj, jednolitości stylu i tych wszystkich zalet duchowych, których się od kompozytora oczekuje i wymaga, to przecie zdradzają umiejętność obchodzenia się ze środkami technicznemi i zręczność a czasem i dowcip w ich użyciu. Przypomnijmy sobie pierwsze opery Meyerbeera, w których niewolnicze naśladowanie Rossiniego nie dozwalało ani na chwilkę ukazać się indywidualnéj oryginalności kompozytora. Czy „Emma di Resburgo," „L'esule di Granata," „Córka Jeftego," Romilda e Costanza," a nadewszystko „Władza miłości i wina" (Die Macht der Liebie und des Weins), które najhaniebniéj na scenie upadły, pozwalały domyślać się w ich kompozytorze przyszłego twórcy „Hugonotów" i „Roberta," mającego kiedyś być dla innych niedościgłym wzorem do naśladowania? Albo czy można było wnosić z początkowych oper Webera, że będzie w przyszłości autorem „Frejszyca" lub „Oberona?" Nie chcemy powiedzieć przez to, że dopatrujemy w p. Hofmanie zapowiedź nowego Meyerbeera albo Webera, którzy przynajmniéj godniejsze sobie wzory do naśladowania obierali, nie biorąc już w rachubę potęgi ich talentów. Bynajmniéj, — nie śmiemy prorokować czy p. Hofman zacząwszy od małego, skończy na niczém, czy też dojdzie do wielkiego. Ale tylko się nie zgadzamy na bezwarunkowe potępienie i zaprzeczenie mu kompozytorskiego talentu. Przeciwnie, — wierzymy nawet, że talent jego z korzyścią może dla sztuki się rozwinąć, jeżeli tylko zechce go i potrafi na godniejszych wzorach uprawiać, a następnie rozbudzi w sobie samodzielność, która u najoryginalniejszych nawet twórców nie zawsze od razu się przejawia. Z tém wszystkiém jednak wyznajemy, że „Żaki" są utworem błahym i słabym, lecz obowiązującym kompozytora do rehabilitacyi swego talentu, z czegobyśmy się niewymownie cieszyli.

W pierwszéj połowie grudnia wystawiono po raz pierwszy po polsku „Afrykankę" Meyerbeera. W szeregu oper tego kompozytora „Afrykanka" na drugim stoi planie i równać się nie może ani z „Robertem Diabłem" ani z „Hugonotami." Nie mało się do tego przyczynia niedołężność libretta, bodaj czy nie najniedołężniejszego ze wszystkich przez arcy płodnego Scribe'a napisanych, Trudnoby wyliczyć wszystkie potworne dziwolągi i niekonsekwencye przez librecistę jak na wystawę tam zebrane.

Autor nazwawszy swoję operę „Afrykanką," najuroczyściéj w scenie IV aktu I przez usta Vasca de Gama zapewnia nas, że Afrykanka wcale nie z Afryki pochodzi. Czemuż więc ją nazwał Afrykanką?

Z zapewnienia, iż z osady Diaza jeden tylko człowiek został przy życiu, wypada, że ten jeden to ma oznaczać troje ludzi, to jest: Vasco de Gamą, Nelusko i Selika.

Selika, ex-królowa dzikiego plemienia, wykłada na mapie lekcyę geografii swemu ukochanemu.

W akcie IV z przyjemnością dowiadujemy się, że dzicy mają swoją literaturę, a przynajmniéj używają pisma, bo Nelusko i Selika składają przysięgę przed księgą.

Jakim sposobem w III akcie dzicy na okręt się dostają?

Zkąd napadła ochota przypisać drzewu (mancenillier) takie własności, o których naturaliści zgoła nie wiedzą?

Wszystko to są wybryki rażące najpobłażliwszych słuchaczów.

Najbardziéj jednak razi charakter bohatera. Vasco de Gama kilkakrotnie naprzemian zaprzysięgając miłość to Selice, to Inezie, stosownie do

tego jak mu interes nakazuje, wydaje się podłym i nikczemnym, pomimo usiłowań autora stworzenia z niego szlachetnéj a sympatycznéj ofiary.

Libretto „Afrykanki“ Scribe wręczył Meyerbeerowi w 1840 roku, to jest jednocześnie z librettem „Proroka.“ Lecz Meyerbeer tak je znalazł niedostateczném, iż oddał na powrót do przerobienia! Dopiero we dwanaście lat potém Scribe zwrócił je Meyerbeerowi w takiéj formie, w jakiéj jest obecnie. Zapatrując się na niedołężność jego teraźniejszą, trudno wyobrazić sobie, jakiém to libretto przed poprawieniem być musiało. A przecież je pisał najsławniejszy i najwprawniejszy w Europie librecista. To dowodzi jak trudno się zdobyć na dobre libretto.

Muzyka „Afrykanki“ jakkolwiek niżéj stoi od „Hugonotów,“ od których dwadzieścia sześć lat ją dzieli, jednak ma wartość bardzo wysoką i pod względem jasności stylu nawet przewyższa „Hugonotów.“ Jeżeli w Hugonotach“ siła dramatyczna i natchnienie porywają słuchacza, to za to w „Afrykance“ niesłychana wprawa pod względem technicznym, wyrazistość i przezroczystość myśli zniewalają wszystkich do uznania doskonałości formy. Opera ta jest nadzwyczaj obfitém zbiorowiskiem bogactw rytmicznych i kombinacyj harmonicznych i instrumentalnych. I z tego właśnie powodu bardziéj się podoba głębokim muzykom niż publiczności.

Przedstawienie „Afrykanki“ u nas chociaż było wcale dobre, nie było jednak takie, jakiém byćby mogło.

Panna Miller-Czechowska w roli Seliki była wyborną, chociaż bardzo umiejętnie w początku opery głos swój oszczędzała, żeby jéj na końcu nie zawiódł.

Sposób taki oszczędzania się zalecićbyśmy pragnęli panu Cieslewskiemu, który od samego początku zbyt niebacznie głosem hojnie szafuje. Wprawdzie i na końcu mu go nie zabrakło, ale za to śmiało z góry ręczyć nie można. Wspomniawszy o panu C. nie możemy się powstrzymać od zadowolenia z jego ciągłego postępu. Artysta ten, któregośmy mieli niedawno za straconego dla sceny, obecnie jest jedną z jéj ozdób. Tém bardziéj zaś nas to pociesza, że po wskazówki dla poprawienia swéj wadliwéj poprzedniéj metody nie udawał się, jak to zwykle się dzieje, za granicę, lecz u jednego z nauczycieli miejscowych znalazł dobre i zdrowe rady, którym według słów jego własnych, cały swój postęp zawdzięcza.

Pani Dowiakowska w roli Inezy i pan Koehler w roli Neluska byli zupełnie na swojém miejscu.

Co do pana Mikulskiego, (Don Alwar), to pragnęlibyśmy, żeby oprócz śpiewu, trochę mówić się poduczył.

Orkiestra nasza nigdy pamiętać nie chce, że słuchacze chcieliby czasem i śpiewaków posłyszeć. Słysząc ją możnaby myśleć, że jest z nimi w rozterce nie w przymierzu. Nie tylko głosy rolowe, ale i chóry zagłusza sobą. Czyja w tém wina? nie wiemy, ale to wiemy, że ta sama orkiestra najdrobniejsze odcienie wybornie wykonywać umiała patrząc na laseczkę Reinecke'go.

Pod koniec grudnia Instytut Muzyczny urządził koncert na dochód niezamożnych uczniów swoich. Powszechnie u nas jest przyjętym zwyczajem, że koncertom na cel dobroczynny urządzanym wszystko się przebacza w imię wzniosłości celu. I my to zdanie podzielamy, lecz tylko z pewném ograniczeniem. Słuchacze mogą i powinni nawet w takim razie wybaczyć jeśli na koncercie nie otrzymają tyle ile się spodziewali, powiedzmy wyraźnie: — za ile zapłacili. Lecz krytyk ze stanowiska sztuki się zapatrujący, nie ma prawa w obec żadnych względów oczu swych zasłaniać i musi sądzić nie oglądając się na to kto pieniądze z koncertu zabierze. Tém bardziéj zaś w obecnym razie cel miłosierny wymówką być nie może, kiedy koncertantem był Instytut Muzyczny, którego obowiązkiem i zadaniem jest krzewienie i przestrzeganie praw sztuki, nie zaś ich gwałcenie lub lekceważenie.

Z wykonawców największą ozdobą był pan Cieslewski, który partyą młodego Tobiasza wykonał wzorowo.

Chóry dowiodły że p. Studziński starannie i umiejętnie je uczy.

Z gry panny Saenger, przekonaliśmy się że ma wybornego w panu Stroblu nauczyciela.

Popis czterech skrzypków w „Concertante“ Maurera dobrze świadczył o zaletach nauczycielskich pana Kątskiego. Ale za to p. Pane dowiódł nam, że nie ma pojęcia o nauce śpiewu, popisując się z uczniami, którym jeszcze o popisie i marzyć nie należy, a którzy będąc tak jak dotychczas prowadzeni, zapewno nigdy się jego nie doczekują.

Ale najprzykrzejsze wywarło wrażenie dyrygowanie oratoryum Gounoda, z którego łaski najlepsze chęci wykonawców udaremnione zostały. Chóry choć dobrze wyuczone często połapać się nie mogły, będąc rażone obojętną martwotą pałeczki dyrektora, która nie do skupienia, lecz do rozpierzchania się tylko przyczyniała.

Z koncertu tego jeszcze wynieśliśmy przekonanie, że nie dość jest chcieć deklamować, lecz nadto trzeba umieć i posiadać do tego środki odpowiednie.

Fuza.

ABDYKACYA.

HUMORESKA

przez **W. S.**

Powiadają, że ks. Bismarck jest wielkim człowiekiem i różne na to przytaczają dowody. Naturalnie liczba tych dowodów rośnie z dniem każdym, a ostatnia wojna prusko-francuzka także nie mało ich dostarczyła.

Wszystko to jednak mnie nie przekonywa. Mojém zdaniem, wielkim człowiekiem jest tylko ten, nad którego dana epoka większego w tym samym zakresie nie przedstawia, albowiem w takim razie ów wielki miałby przed sobą jeszcze większego, a że wielki względem jeszcze większego jest koniecznie mniejszym, więc taki wielki byłby tylko względnie wielkim, czyli nie byłby wielkim w bezwzględném znaczeniu.

Z téj metafizyki wynika, że ażeby dowieść, że ks. Bismarck nie jest bezwzględnie wielkim naprzykład dyplomatą, dosyć jest dowieść, że jest ktoś jeszcze większym w dyplomacyi od ks. Bismarcka.

Tym ktosiem jest pani Augustowa.

Ks. Bismarck podbił Hanower i Hessyę elektoralną, ale na zmedyatyzowanych tym podbojem książętach nie wymógł abdykacyi; to dowodzi, że ks. Bismarck chyba nie czytał historyi pana Augusta i zawojowania go przez małżonkę, która wszechwładztwo swe nad mężem zagarnęła, nie w skutek żadnego traktatu prazkiego, nie przy pomocy iglicówek, ale bezkrwawym dyplomatycznym bojem, pilnując się jedynie téj arcyzręcznéj strategii, że zamiast atakującéj, udawała zawsze atakowaną; zamiast rozkazującéj posłuszną, i zwyciężając potrafiła wmawiać w zwyciężonego, że to on zwyciężył, zakrywając przed nim jego porażkę i wołając zawsze:

— Przekonałeś mnie, mój Guteczku!

Pani Augustowa była zatém Bismarckiem, ale Bismarckiem podniesionym do drugiéj potęgi.

Kim był pan August, nie możemy naprędce znaleźć w dziejach porównania.

Pan August był człowiekiem, który żeniąc się był przekonany, że nigdy przyszłéj małżonce nie pozwoli uchybić majestatowi swéj przyszłéj małżeńskiéj powagi.

Pani Augustowa, dopóki jeszcze była panną Leontyną, utwierdzała go w tém przekonaniu, jak mogła.

— Mąż, — mówiła, — mąż, mojém zdaniem powinien być wszechwładnym panem myśli, żądań, pojęć, słów i czynów swojéj żony.

— Tak pani sądzi?—zapytał jéj pan August.

— Tak sądzę, i jeśli kiedy pójdę za mąż, całém życiem dowiodę tego.

— Dowiedzie pani — a no, to będzie dosyć rzadki przykład w dziejach małżeństw, jakie kiedykolwiek zawarte zostały i zostaną, — zwrócił uwagę kandydat na zawojowanego.

— Rzadki, pan mówisz?... czy wiesz pan, że ja o to gniewam się na pana. Nie godzi się tak oczerniać płci naszéj.

— Oczerniać!.... a! pani, nie spodziewałem się takiego podejrzenia.

— Nie spodziewałeś się pan, a jednak ja mam słuszność.

— Ma pani słuszność, jakim sposobem?...

— Jakim sposobem?... oto po prostu dla tego, że jeżeli kiedykolwiek wyjdę za mąż, abdykuję ze wszelkiéj władzy, ze wszelkich przywilejów małżeńskich. Co mój mąż i pan zechce, to będzie stanowcze i święte...

— Stanowcze i święte pani powiada?...

— Tak jest, stanowcze i święte.

Pan August i panna Leontyna byli widocznie przeznaczeni dla siebie. Musiał być już w gwiazdach spisany ich cywilny kontrakt małżeństwa i tylko *fata* okazyi czekały, aby to *Nothcivilehe* dwóch dusz aktem sakramentalnym zastąpić. Jesteśmy o tém przekonani najmocniéj z powodu związku, jaki przedstawiała ich rozmowa, związku, któregobyśmy napróżno szukali w zwykłych towarzystwach salonowych.

Gdy mówił pan August, panna Leontyna w odpowiedzi powtarzała ostatnie słowa, a gdy mówiła pana Leontyna, pan August czynił toż samo. Tym sposobem myśli obojga ciągnęły się nieprzerwanie jednolitym, ze stali ukutym łańcuchem, tak że w nich nie było ani jednego ogniwa, któreby nie należało do obojga.

Czyż z tego już nie wynika, że byli przeznaczeni dla siebie?...

Koniec końców pan August się ożenił, a panna Leontyna zostawszy panią Augustową, za pierwszy, stanowczy i jedyny warunek położyła panu Augustowi:

— Mój drogi, rób, rozkazuj, rządź, kieruj i postępuj jak chcesz; ja póki życia mego nie nigdy i w niczém nie postąpię wbrew swojéj woli.

Gdyby ks. Bismarck chciał pod tym względem naśladować panią Augustową, gdyby był takim dyplomatą jak ona, powinienby był powiedzieć:

— Kochana, droga Hessyo elektoralna, miłe serdeczne miasto Kassel, nie annektuję was do siebie, ale was właśnie proszę, żebyście mnie do siebie annektować raczyły. Róbcie, rozkazujcie, kierujcie i postępujcie jak chcecie, ja, póki życia

mego, nigdy i w niczém nie postąpię wbrew waszéj woli.

Pan Bismarck tak nie powiedział, ale tak powiedziała pani Augustowa. Pan Bismarck miał z tego powodu wiele kłopotów, czy je miała pani Augustowa, to bardzo niedługo zobaczymy.

Dzieje wojującego małżeństwa trudno zaczynać wcześniéj niż się zaczęło małżeństwo. Przez taką zwłaszcza narzeczoną jak pani Augustowa, pan August nie mógł być zawojowanym wprzód nim się pobrali. Zdarza się wprawdzie niektórym narzeczonym, że zostają *annektowani* jeszcze przed ślubem, ale tylko w takim razie, gdy *profession de foi* narzeczonéj jest cokolwiek inna od wyznania wiary małżeńskiéj tak głośno przed ślubem wypowiadanego przez panią Augustową.

Nie dziwcie się zatém łaskawi czytelnicy, że was wprowadzam do domu państwa Augustowstwa już po ślubie, wprawdzie dopiero w ośm dni po tym pełnym namaszczenia i religijnéj powagi akcie.

Ażeby wam się nie nudziło nie wejdziemy tam sami. Zaprosimy sobie do towarzystwa.... Kogo by tu?.... ot naprzykład kuzynka pani.

Kuzynkowie tak świetne role odgrywają we wszystkich francuzkich komedyach, stanowiących repertoar Palais Royal, że ten, z którym razem wejdziemy, chociażby pod żadnym względem nie dorównywał kuzynkom tworzonym przez komedyo-pisarzy francuzkich, bynajmniéj nam zawadzać nie będzie.

Kuzynkowi dajmy na imię Wincenty, chociaby dla tego, że to imię nie bardzo zużyte, przynajmniéj w naszych powieściach i komedyach. Bą! nawet w naszych dziejach imię Wincentego nie jest tak pospolite. Przyznaj szanowny czytelniku, że oprócz Wincentego Kadłubka, który się przypomina twojéj erudycyi i oprócz Wincentego Kirchmajera, który się wsławił w roku kompromitacyi kartaczownic, nie naliczyłbyś tak wielu sławnych Wincentych.

Kiedy więc Wincenty jest tak osobliwém imieniem, niech idzie z nami pod tém imieniem kuzynek wcale nieosobliwy i nie będący białym krukiem w pośród kuzynków. Będzie to zupełnie tak jak na świecie, gdzie ludzie bardzo nieosobliwi noszą częstokroć bardzo szczególne, bardzo zwracające historyczną uwagę imiona i wcale się o to nie troszczą, aby te imiona godnie nosili.

Wchodzimy zatém do państwa Augustów.

Pan August siedzi na kanapie i medytuje. Przed chwilą, nim weszliśmy, odbył w myśli następujący monolog:

— Ludwisia....

Zapomnieliśmy powiedzieć, że pani Augustowéj było drugie imię Ludwika.

Pan August dowiedział się o tém dopiero z aktu ślubnego i zaraz na drugi dzień po ślubie rzekł do małżonki:

— Leontynko, masz drugie imię Ludwika, więc cię będę nazywał Ludwisią... to jakoś miléj brzmi dla ucha....

— Miléj brzmi.... może, — odpowiedziała pani Augustowa,—zresztą to do ciebie należy... nazywaj mnie Ludwiką, Petronelą, Hermenegildą, jak ci się tylko podoba, mój Guteczku, byleś mnie kochał.

Był to pierwszy dowód, że pani Augustowa abdykowała nie tylko w teoryi, ale i w praktyce.

— Ludwisia, — mówił sobie tedy pan August, — mogłaby iść na bal do resursy, mogłaby nie iść . . . .

Z samego wstępu do tego monologu czytelnik już pozna, że pan August był człowiekiem lubiącym się zastanawiać nad tém co czynił. Ot zaraz w tydzień po ślubie postawił sobie hamletowskie pytanie: *To be or not to be*... wprawdzie *to be* nie znaczyło istnieć, tylko ukazać się na parę godzin, nie stosowało się do życia pośmiertnego, ale do karnawałowego, w niczém to jednak rzeczy przynajmniéj powierzchownie nie zmieniło.

— Mogłaby być, — mówił sobie pan August, mogłaby być gdybym ja chciał; mogłaby nie być gdybym nie chciał.... Zaproszenie już mamy, wszystko w porządku. Ale w tém sęk, czy ja mam chcieć?... Pierwszy bal od czasu jak jesteśmy pobrani, zdaje się, że powinienbym chcieć, bo jakże młodéj kobiecie odmawiać sposobności wytańczenia się?.... Ale znów z drugiéj strony.... miesiąc miodowy.... jak tu młodą kobietę wyciągać z małżeńskiego zacisza, w którém nam tak lubo i błogo?... zdaje się więc, że powinienbym chcieć nie chcieć. Jedném słowem sam nie wiem cobym powinien.

Pan August potarł ręką czoło, pewien, że za pomocą tarcia wydobędzie się z niego inna myśl. Ale gdzie tam!.... kłopot tenże sam ciągle pozostawał.

— Chcieć, — posądzi mnie, że jéj nie kocham, że się z nią nudzę w tém słodkiém *tête-à-tête* trwającém już.... siedm razy cztery dwadzieścia ośm, piszę ośm, dwa pozostaje; siedm razy dwa czternaście, a dwa, sto sześćdziesiąt ośm godzin. Nie chcieć.... będzie myślała, żem zazdrosny, że ją chcę umęczyć przy sobie, że przez całe życie jak przez pierwszy tydzień będzie widziała wszędzie, ciągle i zawsze tylko mnie, mnie i mnie!.... Otoż masz wóz i przewóz, panie Auguście.

Zadumał się pan August nad wozem i przewozem, jak nad najgłębszą kwestyą z metafizyki Kanta albo Hegla, zadumał się i w dumaniu nie doszedł do żadnego innego rezultatu, tylko powiedział sobie:

— Och!—dałbym królestwo, gdybym je miał.... nie za konia, jak Ryszard III, ale za wiadomość, czy Ludwisia chce być na balu w resursie, czy nie chce.

Westchnąwszy tak, powiódł oczy do góry i jakby widział przed sobą cały parter usposobiony do oklasków lub do gwizdania, zawołał:

— Bo wystawcie sobie moi państwo, ta poczciwa, ukochana kobieta, to lube, serdeczne dziecko, ta moja Ludwisia jedném słowem, rzekła mi wczoraj: „Pójdę na bal do resursy, jeśli ty chcesz, nie pójdę jeśli ty nie chcesz; odkąd jestem twoją żoną, wola moja nie jest moją, lecz twoją." A ja, głupi, odpowiedziałem: „Dobrze dziecko", i pocałowałem ją w czoło, i przycisnąłem do piersi, bo któżby nie ucałował i nie przycisnął do łona takiéj poczciwéj małżonki?... Ale skutkiem tego nie spałem całą noc, nie jadłem kolacyi i śniadania, i na obiad nie będę miał apetytu, jeżeli cudem jakim nie odgadnę, czy ona chce być na balu, czy nie chce.

Pan August zrobił w téj chwili gest bardzo podobny do załamania rąk. Byłby może potém rwał sobie włosy z głowy, lub innemi sposobami okazywał okropny stan swojéj duszy, ale w téj chwili wszedł do pokoju pan Wincenty, a za nim my, niewidzialni.

Pan August rozpromieniał w mgnieniu oka, wołając w myśli:

— Wiem, wiem co zrobię... Wicka się poradzę.

W takiém jednak położeniu, w jakiem znajdował się pan August, nietylko kuzynek Wincenty, ale sam Salomon, gdyby wstał z grobu, niewiele-by mu poradził.

Rozmowa ich była doprawdy charakterystyczna.

— Jakżem szczęśliwy, że cię widzę, mój Wicusiu, — mówił pan August, — jestem w kłopocie...

Jak najlakoniczniéj opowiedział Wicusiowi swoje nieszczęście.

— Radź mi Wicusiu... nazwę cię najmędrszym z kuzynów... radź mi czy zaprowadzić Ludwisię na bal do resursy, czy nie?...

— Mój drogi, — odpowiedział pan Wincenty, — twoja żona jest perłą między żonami...

— O! to prawda, — przerwał pan August.

— Więc jakkolwiek postąpisz, zadowolisz ją... postąp jak chcesz...

— Jak chcę!... ależ ja właśnie chcę postąpić tak jak chce ona...

— A jakże ona chce?... najprościéj będzie jéj zapytać...

— Ba!... pytałem... powiedziała, że chce postąpić podług méj woli.

Kuzynek się rozśmiał.

— A więc najlepiéj jéj dogodzisz jeśli postąpisz według swéj woli.

— Jakże mogę postąpić według méj woli, kiedy wolą moją jest zastosować się do jéj woli, a woli téj dojść nie mogę.

— Wola, wolą, woli, wolę... otoż metafizyka matrymonialna. Niech mnie diabli porwą, jeśli rozumiem.

— Ależ to rzecz jasna jak słońce... mam wolę spełnić jéj wolę — ale...

— Dajże pokój z tém powtarzaniem, bo mi do reszty zawrócisz w głowie.

— Cóż tedy pocznę nieszczęśliwy?... sam jéj widocznie nie wybadam...

— Więc wybadaj przez kogo...

— Wyborna myśl... przez kogo... ale przez kogoby tu?.. ach! że mi też to od razu na myśl nie przyszło... Wicku, mój przyjacielu, ty ją wypytaj...

— Ja?... ależ...

— Nie ma ależ... zrobisz mi tę przysługę... uszczęśliwisz mnie... zrobisz koniecznie... widzisz, spać ani jeść nie mogłem, dopókim nie miał sposobu rozwiązania téj zagadki... widzę teraz, że ją już rozwiążę z twoją pomocą... Już mi powraca sen... jak zrobisz o co cię proszę, wróci apetyt... no, podaj mi rękę... zgoda?...

— A więc zgoda...

— Kiedy zgoda, mogę iść spać, przyszlę ci tu za sekundę Ludwisię...

August wyszedł, pan Wincenty sam pozostał i zastanowił się przez chwilę nad położeniem męża swéj kuzynki.

— A to szlafmyca!— rzekł z razu.

Po chwili rozważył sprawę lepiéj i odmienił przekonanie.

— Dla czegoż go nazywam szlafmycą? — mówił do siebie; filozoficznie rzeczy biorąc, wolno mi chcieć postąpić, jak chce moja żona, rozumie się jeśli mam żonę. Ale jeżeli ta żona nie chce powiedzieć jak chce postąpić, to jestem w woli mojéj skrępowany i nie mogę postąpić tak jak chcę. Żona w takim razie jest despotką. O! poczekaj piękna kuzynko!... Sprzymierzam się z twoim mężem przeciwko tobie i zobaczymy czy za minutę nie będę wiedział czego chcesz na seryo, a twoją tajemnicę powiem małżonkowi.

Pani Augustowa ukazała się w téj chwili, i pan Wincenty składając pocałunek na jéj rączce, pierwszém zaraz odezwaniem się dał znakomity dowód indagatorskiego talentu.

— Kuzynko, — rzekł, — czy mogę cię prosić do kotyliona na balu w resursie?...

Pani Augustowéj aż się oczy zaświeciły z radości.

— Więc Gucio powiada, że idziemy? — zapytała zadowolona.

— Mam kuzynkę! — pomyślał pan Wincenty, — radość ją zdradziła.

I wyznał szczerze, jakiego się dopuścił podstępu.

— Gucio powiedział mi tylko, żebym cię wybadał kuzynko, bo chce postąpić z godnie z twém życzeniem... ale już badania niepotrzebne, bo w oczach twoich wyczytałem, że masz szczerą ochotę być na téj zabawie.

— A! więc to była zasadzka!... — zawołała pani Augustowa, — zręczna... trudno zaprzeczyć, aleś się pomylił kuzynie...

— Kuzynka nie chce być na balu?...

Pani Augustowa przybrała poważną postawę i głosem prawie uroczystym wypowiedziała swoją tajemnicę:

— Ja chcę, panie Wincenty, żeby mój mąż był zawsze i w każdéj okoliczności niepewien mojéj woli i mych chęci.

— Okropna żona, — pomyślał kuzynek, i wstrząsnął się mimowolnie jakby go dreszcz przeszedł po skórze.

Zgroza, jaką wyznanie pani Augustowéj przejęło pana Wincentego, dowodzi, że kuzynek miał dobre serce i ulitował się nad dolą męża.

Nietylko że się ulitował, ale postanowił pomagać mu, o ile to było podobném.

W tym celu badał daléj małżonkę.

— Lecz jakże mąż twój ma postąpić, kuzynko?

— Niech sobie postąpi, jak chce.

— A kuzynka w każdym razie będzie zadowolona?... nie prawdaż?...

— A kuzynka w każdym razie nie będzie zadowolona, — odparła z naciskiem pani Augustowa.

— Ależ to straszne, kuzynko, cóż on pocznie, żeby pozyskać twoje zadowolenie?...

— Cóż robić?... wiem, że to straszne... lecz niech sobie sam nad tém łamie głowę...

— Lecz jeśli nie odgadnie, to wasze pożycie małżeńskie będzie zatrute na zawsze.

— Nie na zawsze, kuzynie, bo w takim razie pójdę do rozwodu.

— Jakiż masz cel, kuzynko, w téj wojnie wypowiedzianéj najlepszemu z mężów?

— Polityczny.

— Czy to twoje *ultimatum* kuzynko?

— Jak najbardziéj stanowcze *ultimatum*.

— Jeżeli tak, to mi kuzynka pozwoli, że to czegom się dowiedział zakommunikuje mężowi.

— Możesz zakommunikować, kuzynie.

Pan August przespał się doskonale, apetyt mu powrócił i już się zabierał do zaspokojenia go, gdy kuzynek Wincenty wszedł do jego pokoju, przynosząc mu nowinę, jaką usłyszał od żony.

Słowo „chcieć“ znowu odmieniane było w rozmowie na wszystkie cztery sposoby, jak je uczący się języków obcych odmieniać zwykli, a nadto przechodziło wszystkie możebne kombinacye połączeń tych sposobów: „chcę nie chcieć,“ „nie chcę chcieć,“ „nie chcę nie chcieć“ „chcę chcieć,“ jak tego małą próbkę mieliśmy w pierwszéj rozmowie pana Augusta z kuzynkiem.

Nie potrzebujemy dodawać, że panu Augustowi włosy powstały na głowie, gdy się dowiedział o *ultimatum* żony.

Nie dowierzając swojemu nieszczęściu, poszedł za radą kuzyna do żony i wybadał ją w inny sposób.

— Ludwisiu, — rzekł, — mam postąpić jak chcę... otoż pójdziemy na bal do resursy...

— Mój drogi, kiedy ty chcesz, dla czegożbym nie poszła?... czyż to do mnie należy skarżyć się na ciężkie czasy? — odpowiedziała kwasno, — pójdę, pójdę z ochotą, chociaż na takich zabawach więcéj natłoku niż zabawy...

— Widzę że nie chcesz... — zagadnął nieśmiało małżonek.

— A cóżbyś ty miał zważać, czy ja chcę, czy nie chcę?... Pójdę, pójdę z ochotą, chociaż...

— Wiesz co, Ludwisiu, zdecydowałem się... nie pójdziemy, — zmienił postanowienie pan August.

— Jeżeli nie chcesz, to nie chodźmy, — z tym samym grymasem odpowiedziała Ludwisia, — chociaż to wstyd nie iść na zabawę, na któréj będzie całe miasto, tak jakby cię nie stać było dla mnie na suknię; ale kiedy nie chcesz, nie pójdziemy.

— Ależ chodźmy, chodźmy, aniołku.

— Mój Guciu... nie zmieniajże przekonania jak chorągiewka na dachu... nie iść to nie iść, zdecyduj się raz... choćby nas za to palcami wytykać mieli; kiedy chcesz iść, to pójdziemy, choć to wydatek ogromny, a przytém ścisk... więcéj zachodu niż zabawy.

Pan August zaklął w myśli, życząc temu co wynalazł wyraz „chociaż,“ żeby został małżonkiem osoby miléj, pięknéj i dobréj, ale lubiącéj zanadto często używać tego wyrazu.

Zaklęwszy wrócił do kuzynka Wincentego po radę.

Kuzynek przedstawił mu jego położenie w sposób nadzwyczaj jasny.

— Widzisz Auguście, — mówił, — ty jesteś rząd, a twoja żona opozycyą parlamentarną. Gdyby była tylko lewym środkiem, byłaby z nią jeszcze mała bieda; ale moja kuzynka to skrajna lewica, to opozycya *à tout prix*, opozycya nieprzejednana, *irréconciliable*.... moja kuzynka to Rochefort.

— Tak, tak, widzę to... moja żona to Rochefort.

— W takim stanie rzeczy widzę tylko trzy sposoby wyjścia z przykrego położenia.

— Aż trzy!.. wybornie!.. zmiłuj się więc gadaj!.. wybiorę najstosowniejszy.

— Pierwszy... zamknąć Rocheforta do kozy!.. jak rząd francuzki.

— A! co ty gadasz?... cóżby na to powiedziało całe miasto?

— Mówiłem figurycznie, ale kiedy nie chcesz tego środka, obieraj drugi, żona sama ci go podda je... prośbę o rozwód.

— Zmiłujże się, ledwie od tygodnia jesteśmy pobrani. Masz przecież jakiś trzeci środek. Jakiż to?...

— Abdykacya, — rzekł uroczyście kuzynek.

— Abdykacya, — powtórzył nieszczęśliwy małżonek, to zdaje się najłagodniejsze, ale jak to uczynić?...

— Wyrzec się najformalniéj rządów osobistych i zdać całą władzę na żonę. Zrozumiałeś?...

— Zrozumiałem.

— No, więc postąp tak jak ci radzę.

Uznawszy trafność rady kuzynka Wincentego, pan August nie omieszkał zastosować się do niéj.

W chwilę potem oświadczył swéj małżonce, że stanowczą i nieodwołalną wolą jego jest być nadal mężem konstytucyjnym, a ją uważa za gabinet i parlament w jednéj osobie.

Pani Augustowa przyjęła obie te godności i odtąd w życiu młodego małżeństwa zaczęła się stała pogoda.

Nie możemy złożyć pióra nie nadmieniwszy, że państwo Augustowstwo byli na balu w resursie, i że pani Augustowa bawiła się najwyborniéj.

ROZMAITOŚCI.

— Słynny podróżny rossyjski Fedczenko powrócił z podróży do Kokanu w dniu 23 grudnia r. z., przedsławił towarzystwu geograficznemu petersburskiemu rezultaty swoich badań w obszernem sprawozdaniu. Fedczenko wyznaczył dokładnie położenie Uzgendu, określił wysokość płaszczyzn Ałtaju na 8000 stop i oznaczył ciągnące się w południowym kierunku pasma gór o średniéj wysokości 18 do 19,000 stop; pojedyncze ich szczyty wznoszą się do wysokości 25,000 stopy.

— Uczony rossyjski D. M. Struków rozpoczął poszukiwania starożytności chrześciańskich w Krymie. W wiosce tatarskiéj Ai-Wasil położonéj na brzegu południowym, wykopano kościół, w którym znalazł się pomnik z napisem datującym z 801 r. Odkopano tam już siedm kościołów, a obecnie wychodzi na światło dzienne wielka świątynia w wiosce Parthenit leżącéj u stóp Aju-Daghu.

— Wydane w roku 1871 przez L. Figuiera głośne dzieło p. n. „Nazajutrz po śmierci“, znalazło u nas zrazu kilku chętnych do przetłómaczenia. Obecnie z rozmaitych powodów wszyscy ci tłómacze porzucili pierwotny zamiar. Skończyło się na chęciach, jak zazwyczaj.



Panu W. D. w Krzywonosi. Propozycyi pańskiéj Redakcya przyjąć nie może, — nadesłane bowiem próby nie będą zużytkowane.

Bezimiennemu przyjacielowi „Wieńca.” Z rad pańskich, o ile uznane będą za słuszne, Redakcya nie omieszka skorzystać.

Śpiewakowi z nad brzegów Narwi. Do „Wieńca” chętnie wplatamy kwiaty uczucia, — unikamy jednak nikłéj flory sentymentalności; — z tego powodu poezya: „Mój Kwiatek” nie może być drukowaną.

Panu Stanisławowi P. Wiersz „Młode pióro” drukowany nie będzie.

Panu Sadkowskiemu w Timie. Do końca roku należy nam się od pana za przesyłkę dopłaty Rs. 2. Katalog książek wysłaliśmy pod opaską.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 3 (15) Января 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

w Drukarni pod firmą S. Orgelbranda Synowie, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.